POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 26-go czerwca 1943r.*** — **Rok V. Nr. 25**

DYWIZJON MAZOWIECKI

W niecałe dwa tygodnie po upadku Francji powstał pierwszy polski dywizjon bombowy w Wielkiej Brytanii. Dywizjon Ziemi Mazowieckiej, imienia Marszałka Piłsudskiego, oznaczony w Królewskich Siłach Powietrznych numerem . . .

Otrzymał samoloty takie, na jakie stać było wówczas brytyjskie lotnictwo — nieco już przestarzałe, powolne " Battle "; otrzymał przydział do stacji operacyjnej; skompletował załogi; dostał bomby i — uporczywie zaczął je zawozić nad Niemcy i nad tereny okupowane przez nie w Europie.

Później — maszyny zmieniały się na coraz lepsze i szybsze; zmieniało się uzbrojenie na coraz potężniejsze; rósł udźwig bomb; zmieniały się cele, na które te bomby spadały; kolejno zmieniło się sześciu dowódców dywizjonu i wiele załóg, które odbyły obowiązkowe loty operacyjne. Nie zmienił się tylko upór, z jakim Dywizjon bombarduje nadal Niemcy.

Mam przed sobą w ośmiu punktach ujęte sprawozdanie z działalności tego dywizjonu od dnia 14.IX.1940 r. do dnia 27.V. roku bieżącego. Sprawozdanie chyba najbardziej treściwe, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek czytać; najkrótsze w porównaniu z ogromem wykonanej pracy bojowej.

Takie sprawozdanie zapewne nie przemawia do wyobraźni każdego czytelnika: suche cyfry mają swoją wymowę tylko dla fachowców. Ale spróbuję przełożyć je na inne, łatwiejsze do zrozumienia. Może wtedy obraz tych nocy, które przeszły bezsennie dla załóg Dywizjonu w drodze do celu i z powrotem, oraz dla Niemców siedzących w schronach — może wówczas ten obraz wystąpi żywiej na tle danych liczbowych " w czasie i w przestrzeni."

Ilość samolotów Dywizjonu, które po dzień 27 maja b.r. wzięły udział w operacjach, wynosi 1.556. Gdyby je ustawić w szeregu, jeden za drugim — szereg taki miałby 22 kilometry długości . . . Gdyby sformować z nich trójkąt, skrzydło przy skrzydle zajęłyby taką powierzchnię, jaką zajmuje Green Park w Londynie . . .

Załogi tych samolotów zrzuciły na cele nieprzyjacielskie 5.200.000 funtów bomb. 5.200.000 funtów, to 250 wagonów kolejowych; to dziesięć pociągów po ćwierć kilometra każdy . . .

Ogólna ilość godzin wylatanych w lotach bojowych zamyka się liczbą 9.000. Trzeba sobie uprzytomnić, że 9.000 godzin to jest 375 dni i nocy — rok i dziesięć dni . . .

Samoloty Dywizjonu przeleciały ponad 1.450.000 mil, czyli 2.320.000 kilometrów. Wynosi to 58 okrążeń kuli ziemskiej po równiku . . .

We wszystkich tych lotach Dywizjon stracił 35 załóg. Cztery samoloty wodowały przymusowo na morzu; trzy załogi skakały ze spadochronami na terenie nieprzyjaciela . . .

Tu — dygresja, którą poświęcam kapitanowi-obserwatorowi T. Dygresja, która w sprawozdaniu zajmuje tylko jedną linijkę maszynowego pisma, bo — jak już wspomniałem — sprawozdanie zawiera zaledwie osiem punktów i mieści się na ćwiartce arkusza kancelaryjnego papieru.

Kapitan T. musiał skakać ze spadochronem z płonącego samolotu nad terenem Francji. Przy lądowaniu w ciemności złamał sobie stopę. Mimo bólu, zdołał oddalić się od miejsca lądowania i ukryć się w zaroślach. Po kilku dniach, lub raczej po kilku nocach wędrówki, bo dni spędzał w ukryciu w polu — dowlókł się do pewnej farmy, w której pozwolono mu przespać się pod dachem i po raz pierwszy opatrzono " domowym sposobem " jego złamaną stopę. Dano mu też cywilne ubranie. Ale nazajutrz musiał ruszyć w dalszą drogę: Niemcy rozstrzeliwują tych, którzy udzielają pomocy zbiegom . . .

Kapitan T. postanowił przedostać się do Wielkiej Brytanii z powrotem. Jak na człowieka ze złamaną nogą, prawie bez pieniędzy, ze słabą znajomością języków francuskiego i niemieckiego, do których ciągle wpadały mu słowa angielskie — w kraju pełnym Niemców — postanowienie zgoła beznadziejne; szaleńcze; zdawało by się — niewykonalne.

Złamana stopa sprawiała mu nieludzkie cierpienia. Każdy krok przeszywał go bólem. Nie mógł znaleźć nigdzie noclegu, nie mając żadnych dokumentów. Nie miał gdzie odpocząć. Nie znalazł lekarza, który by go opatrzył. Bał się nocować w miastach, nawet na dworcach kolejowych, ponieważ kontrola dowodów osobistych była tam szczególnie przestrzegana. Musiał iść; iść przed siebie ciągle z tą złamaną stopą; jechać przepełnionymi pociągami, w przedziałach, w których było więcej żołnierzy niemieckich, niż Francuzów . . .

Kiedy opadał z sił, wstępował do kościołów, żeby móc bezpiecznie wypłakać się z bólu, posiedzieć, odetchnąć . . .

Ileż razy niemal cudem uniknął aresztowania! Ile razy wymknął się w ostatniej chwili z rąk policji, gestapo, czy żandarmerii! Ile razy omal się nie zdradził w rozmowie . . .

Trzy tygodnie wędrował po całej Francji, ponawiał próby, żyjąc jak zwierz ścigany przez psy myśliwskie, osaczany, głodny, bezsenny, przemarznięty, wyczerpany i obolały. Noga puchła, siniała, dokuczała straszliwie. To mogło go zgubić. To odbierało mu nadzieję i siły. To było najgorsze.

Wytrzymał jednak.

Pewnego dnia spotkał Francuzów, którzy mu pomogli. W skrzyni do przewożenia jarzyn przewieziono go przez most na rzece, z okien jakiegoś domu pokazano mu las i linię drutów kolczastych, za którą była Wolność. W jakiejś chwili, na dany znak zaczął biec, nie zważając na ból. Upadał, zrywał się, biegł znowu i znów padał. Potem przedzierał się przez zasieki, szedł, czołgał się, pełzał, aż — u kresu sił, pokrwawiony, obdarty zaszył się w las.

Później przechodził inne jeszcze granice i przedzierał się przez inne zasieki. Wędrował, przymierał głodem, uciekał, kluczył, wymykał się i ukrywał. Wreszcie dotarł do portu, skąd wysłano go do Wielkiej Brytanii.

Pierwszym miejscem, do którego pojechał natychmiast po wylądowaniu, była stacja lotnicza Dywizjonu Z.M. Jest teraz na tej stacji. Lata nad Niemcy. Bombarduje Essen, Dortmund, Bremen, Düsseldorf, Emden, Osnabrück, Wuppertal . . .

To tacy, jak on, jak kapitan T., przelatują 1.450.000 mil. Tacy rzucają te miliony funtów bomb. Tacy przebyli w powietrzu rok i dziesięć dni — 9.000 godzin. To z takich ludzi składa się Dywizjon.

Pomyślcie: w sprawozdaniu, do którego znów powracam, powyższa historia zajmuje jedną linijkę maszynowego pisma. Właściwie nawet mniej:

Ilość lądowań ze spadochronem na terytorium nieprzyjaciela 3

Jest tam jeszcze jeden, ostatni, ósmy punkt:

Odznaczenia:

Virtuti Militari	234
Krzyż Walecznych	1017
Distinguished Service Order	1
Distinguished Flying Cross	10
Distinguished Flying Medal	8
Mention in Dispatches	1

Na tym kończy się sprawozdanie. Ale ja chciałbym dodać jeszcze kilka słów, bez których to, co napisałem, nie zadowoliłoby ani mnie, ani Dywizjonu Z.M. Parę słów o pracy tych, bez których żaden dywizjon lotniczy obyć się nie może. Bez których nie było by wcale sprawozdania, nawet tak lakonicznego w formie, jak to o którym napisałem. Chodzi o mechaników i o porucznika M.

O mechanikach pisałem już raz specjalnie w " Skrzydłach " /nr. 134 z 1.XII.1941/; ale mechanikom z Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej należy się uwaga szczególna, i każdy, kto dobrze zna ten dywizjon, z pewnością to potwierdzi. Jeśli zaś kto ma wątpliwości, niech zobaczy wystawę pozasłużbowych prac tych mechaników: motorzystów, płatowcowych, uzbrojenia, radio, elektryków i innych specjalistów. Wystawę zorganizowaną z okazji święta Dywizjonu, przypadającego w trzecią rocznicę jego powstania, dnia pierwszego lipca.

Kiedy mechanik ma czas " pozasłużbowy " w nocnym dywizjonie — jest tajemnicą oficera technicznego, porucznika M . . . Na zdrowy rozum biorąc, w ogóle takiego czasu nie ma, bo w dzień albo przygotowuje się samoloty na wyprawę nocną, albo obsługuje się je przy lotach ćwiczebnych i próbnych; późnym wieczorem zapuszcza się silniki, sprawdza się, co jeszcze sprawdzić można i odprawia się maszyny do startu; przed świtem czeka się na ich powrót, by zaraz potem przejrzeć je i przygotować do następnego zadania. Do tego należy dodać naprawy uszkodzeń, przeglądy i kontrole okresowe, zamiany części zużytych, uzupełnianie paliwa i smaru, amunicji, baterii akumulatorów i sto innych czynności, o których Szanowny Czytelnik nie ma t.zw. " zielonego " pojęcia, autor zaś ma, ale bardzo " zielone." Na sen, odpoczynek, piwo w " pub'ie " obok lotniska i inne, bardzo ograniczone zresztą przyjemności, pozostaje w sumie kilka godzin.

Dlatego też nie podejmuję się rozwiązania zagadki, k i e d y mechanicy i oficer techniczny Dywizjonu robią te cuda, które można będzie podziwiać na ich wystawie.

Muszę dodać, że porucznik M. przybył do Dywizjonu przed rokiem. Przybył on, rozejrzał się w technicznych podręcznikach angielskich i od razu stwierdził, że nasi mechanicy, którzy świeżo tu przybywają, nie dadzą sobie rady z tablicami, wykresami angielskimi, objaśnieniami rysunków. Że nie ma żadnych modeli, pomocy i wzorów do poglądowej nauki obsługi nowego sprzętu.

—Nie ma? — To trzeba zrobić!

Wykombinował przy hangarze lokal na kreślarnię, warsztat taki, warsztat owaki, namówił swoich mechaników, żeby pracowali " pozasłużbowo."

Nie było cyrkli, rysownic, tuszu, farby, papieru, drzewa — nic. Nie było pieniędzy, żeby kupić. Więc mechanicy się złożyli i kupili. Potem zaczęli robić te wykresy, tablice, przekroje. Pierwszy raz w życiu — ale jak! . . . To trzeba zobaczyć, aby uwierzyć.

Skomplikowane rysunki instalacji, przyrządów, silników, radiostacji — wszystko w tuszu, kolorowe, przejrzyste, jak z kreślarni najlepszego biura konstrukcyjnego!

Robią na zapas — do Polski, bo tam będzie potrzebne.

Robią model radiostacji ze starej szuflady, pudełka po marmeladzie i parasola — działa! Robią model " Wellingtona " z połamanej ławki ogrodowej — śliczny! Robią odznakę Dywizjonu, licho już wie z jakich odpadków — cudo!

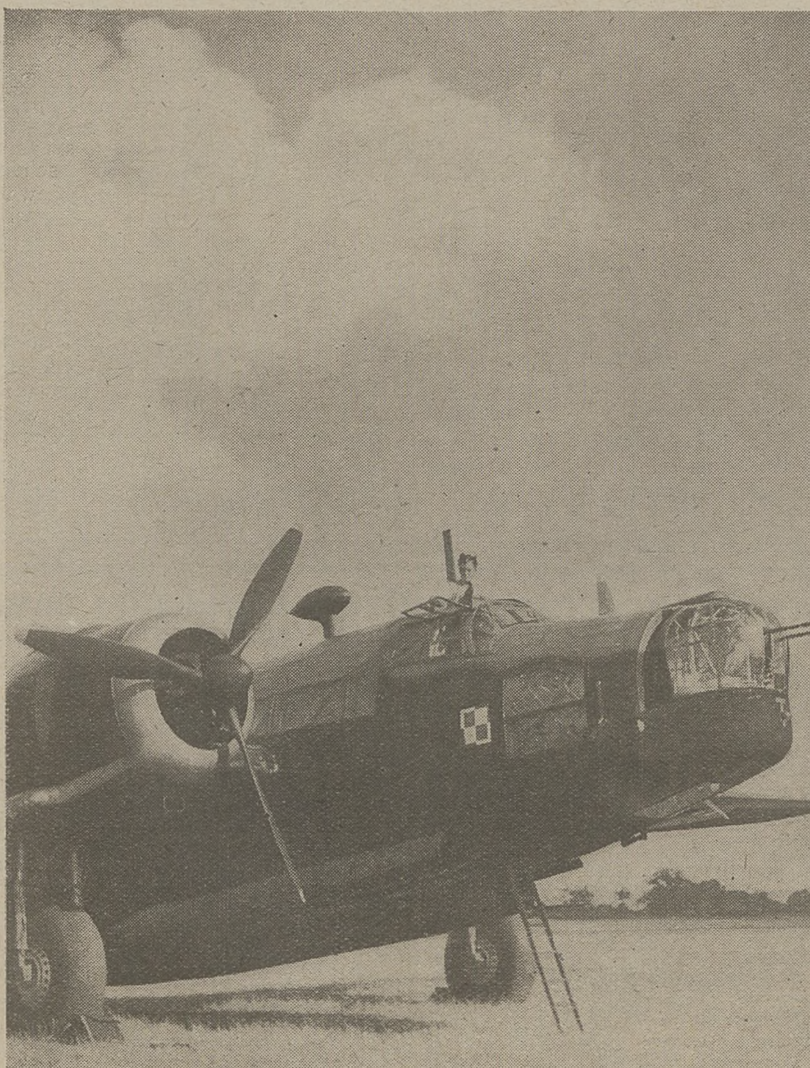
Uczą się, dłubią, kreślą, malują — k i e d y, pytam się, do stu tysięcy wylatanych godzin?!!

Trzeba zobaczyć tę wystawę. Trzeba ją posłać innym dywizjonom, pokazać Anglikom, przywieźć do Londynu, objechać z nią Szkocję. I — — może by tak pomóc Dywizjonowi i jego oficerowi technicznemu pieniężnie? Bo jak dotąd — robota idzie za pieniądze ze składek mechaników . . .

PORUCZNIK HERBERT

Dowódca Dywizjonu Z.M. zawiadamia wszystkich byłych żołnierzy tego dywizjonu, że w dniu pierwszym lipca b.r. odbędzie się na lotnisku dywizjonu uroczystość trzechlecia jego powstania. Ze względu na ograniczoną ilość noclegów, żołnierze zamierzający wziąć udział w tej uroczystości proszeni są o przesłanie zgłoszeń na ręce adiutanta dywizjonu do dnia 28 czerwca b.r. Osobne zaproszenia nie będą wysyłane.

Samolot i mechanik Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej



Szkic sytuacyjny

ALARMY SYRYJSKIE

Wojna nerwów rozwija się w dalszym ciągu. Sojusznicy przesunęli punkt ciężkości tej wojny ku Syrii, gdzie gromadzą się poważne siły. *Zamknięcie granicy turecko-syryjskiej* /powody tego kroku różnie były tłumaczone/, *koncentracja floty alianckiej w wschodniej połaci Morza Śródziemnego, doniesienia o przesunięciach jednostek niemieckich w Bułgarii w stronę granicy Turcji* — wszystko to stworzyło stan nerwowości i wyczekiwania.

Czy Niemcy ruszą na Turcję, pod hasłem uprzedzenia ataku sojuszników? Czy flota sojusznicza uderzy na Kretę? Czy możliwe są jakieś działania ku wybrzeżom Grecji?

Są to wszystko zapytania, na które nie można na razie dać odpowiedzi. W każdym razie Turcja przeżywa na pewno chwile niepokoju. Jeżeli w tym roku Rzesza nie ruszy na Turcję i nie wpląta jej w wojnę, to wówczas można powiedzieć, że wojna już chyba Turcji nie nawiedzi. Stanowisko tego kraju w ostatnich czasach wyraźnie okrzepło. Turcja dobitnie podkreśliła swoją neutralność dając do zrozumienia, że zamierza zachować neutralność i swoją siłę zbrojną na chwilę dla niej najodpowiedniejszą. Wydaje się, że *Turcja* — podobnie jak Szwecja czy nawet Węgry — *chciałaby zachować największe siły ludzkie na ostatnie rundy wojny.*

Tego rodzaju stanowisko jest oczywiście — zależne od rozwoju wypadków. Nie wiemy, czy Turcja wytrwa w swoim postanowieniu, t.j. czy wypadki pozwolą jej wytrwać. Na razie jednak wydaje się, że szanse wejścia Turcji w wojnę po stronie sojuszników nieco spadły. Turcja chce zachować siły i prowadzi grę zdecydowanie własną. *Uważa ona, że ostatnia runda wojny będzie trudna i że doba bezpośrednio po zakończeniu działań przeciwko Rzeszy wymagać będzie największej czujności.*

Syria jest w danej chwili punktem interesującym. *Prasa brytyjska rozpatrując położenie zaznacza, że zgromadzone są tam znaczne siły polskie. Docenia ona wagę i znaczenie tych oddziałów.*

ZASTÓJ NA FRONCIE WSCHODNIM

Na razie nie wygląda na to, ażeby na froncie wschodnim ruszyła się jakaś większa akcja. Doniesienia neutralne mówią o tym, że Rzesza przerzuca siły z frontu wschodniego na Zachód oraz na Południe. Tego rodzaju akcja dowodzi, że Rzesza odsłania niebezpiecznie swoje linie wschodnie. Ryzykuje jednak najwidoczniej i to, w obawie, że Południe albo Zachód mogą nagle znaleźć się w ogniu walki. *Rzesza traktuje jednak poważnie możliwości inwazji przez sojuszników.*

Rosja dała do zrozumienia, że nie przejdzie na razie do ofensywy i że czekać będzie na chwilę, kiedy alianci uderzą na kontynencie. Radio moskiewskie mówiąc o tego rodzaju możliwości starało się może zmylić Niemców — *wojna nerwów i bluffu odchodzi dzisiaj jak w najlepszym pokerze, ale być może, że jest to istotny zamiar Rosji.* Uważa ona, że wykrwawiła się już dostatecznie i że można poczekać aż maszyna aliancka nie rozrusza się lepiej. Rosja najwidoczniej dochodzi do wniosku, że musi szanować swoje siły i swoje uzbrojenie.

Na całym odcinku rosyjsko-niemieckim toczy się podjazdowa walka propagandy. Pogłoski, doniesienia, plotki, dementi — codziennie co innego. Obie strony starają się stworzyć zamęt w głowie przeciwnika. Niedawno rozpuszczono za pośrednictwem dziennika szwedzkiego pogłoski, że w Sztokholmie poseł sowiecki pani Kołłontaj naradza się z przedstawicielami sztabu niemieckiego co do warunków pokoju . . . Dziennik szwedzki podał nawet okoliczności tych rzekomych rozmów. Rosjanie zaprzeczyli stanowczo wołając, że jest to kłamstwo niemieckie.

Nikt nie potrafi się już dzisiaj rozeznać w tych wszystkich pogłoskach. Ajenci propagandy szaleją we wszystkich stolicach neutralnych. Można przypuścić, że to istotnie Niemcy puścili przez dziennik szwedzki pogłoskę o rokowaniach sowiecko-niemieckich, ażeby wytworzyć nastrój nieufności pomiędzy Rosją a krajami anglo-saskimi. Z drugiej strony rozpuścili oni przypuszczalnie także doniesienie, że Rumunia stara się dogadać z aliantami i że gotowa jest otrzymać od nich przyrzeczenie zatrzymania Besarabii. Tego rodzaju gra ma znowu wywołać zaniepokojenie Rosji i nieufność do Londynu oraz Waszyngtonu.

Niemcy grają zatem na wszystkich możliwych strunach. Wysiłki ich ajentów dowodzą, że gwałtownie poszukują oni sami — *dróg wyjścia z matni* i że nie przestali wierzyć w możliwości rozbicia jedności alianckiej.

Wszystkie te pogłoski i doniesienia traktować należy z największą ostrożnością. Wojna nerwów nie słabnie, ale przeciwnie, nasila się. W chwilach takich jak obecnie, kiedy działania wojenne są w zawieszeniu, wojna propagandy jest w najlepszym rozwoju. Trzeba zachować w tej całej opresji zdrowy sąd i nie brać każdej pogłoski za dobrą monetę.

NALOTY NA RZESZĘ

Z lamentów i wygrażań niemieckich można się przekonać, że jednak RAF robi swoje i że ogrom zniszczenia dokonanego w Rzeszy jest czymś jeszcze nieoglądanym w Europie. Zagłębie Ruhry cierpi na pewno ogromnie, a *skargi ludności Zagłębia rozlegają się dzisiaj w całej Rzeszy.* Z powodu wielkich odległości mieszkańcy Berlina nie wiedzą zrazu o wypadkach w Ruhrze, zatajanie faktów kwitnie dalej. Jednakże ci, którzy uciekają z okręgu Ruhry opowiadają o swoich przeżyciach. Z czasem opowiadania te rozchodzą się po całej przestrzeni Niemiec.

Uchodźcy, którzy przybyli do Austrii i do innych krajów /Sudety, Węgry/ rozpowiadają o swoich nieszczęściach. Z czasem dochodzą te skargi do mieszkańców najdalej od nalotów położonych dzielnic Rzeszy, jak n.p. Prusy Wschodnie. Sprawozdawcy neutralni nie mogą pisać wiele, ale za to kupcy i przemysłowcy, którzy odwiedzają Rzeszę, sprzedają swoje relacje pismom neutralnym za drogie pieniądze.

Relacje te brzmią zdecydowanie niewesoło. Widać z nich, *że ludność miast zachodniej połaci Rzeszy jest przemęczona, że jest przedenerwowana, że żyje w ustawicznym lęku. Wyczerpanie to odbija się na jakości pracy robotnika.* Jest ona niewątpliwie coraz gorsza. Nie pomagają na to próby przerzucania robotników obcych — do obszarów najbardziej zagrożonych przez RAF. Nie polepsza to bowiem jakości pracy. Sami Niemcy przyznają dzisiaj, że jakość pracy robotnika obcego jest, mimo wszystko, *poślednia.*

Doniesienia neutralne powiadają, że braki żywnościowe w dzielnicy zachodniej są spore i że od wczesnego ranka gospodynie zmuszone są do wystawania w ogonkach przed sklepami. Radio niemieckie daje do zrozumienia, że fizyczna wytrzymałość kobiet niemieckich silnie spadła z powodu tych właśnie kolejek przed sklepami i niekończącego się wyczekiwania.

To wszystko zaczyna tworzyć w Rzeszy warunki bardzo alarmujące dla samych władz. *Zniszczenie wielkich połaci kraju, spadek wytwórczości, obniżenie siły żywotnej — oto czynniki, które nie mogą pozostać bez wpływu na odporność całego narodu w znoszeniu dalszych ciosów.*

UDERZENIA NA SYCYLIĘ I SARDYNIĘ

Obie te wyspy znajdują się pod atakiem bombowców amerykańskich i brytyjskich. Te ostatnie uderzają z Malty. Sardynia i Sycylia otrzymują cięgi z powietrza i zapewne otrzymywać będą przez najbliższe dni, jeżeli nie tygodnie. Rozkruszenie obrony włoskiej i niemieckiej na obu tych wyspach nie będzie zadaniem łatwym. Straty wroga są duże, nieraz jak 5:1, ale obrona jest ostrzejsza, aniżeli dotychczas.

Jeden ze sprawozdawców brytyjskich mówiąc o żołnierzu włoskim zaznaczył, że żołnierz ten bił się wcale dobrze w tej kampanii i że nieraz okazywał więcej hartu w wojnie w pustyni, aniżeli żołnierz niemiecki. Zaznaczył on także, że na Sycylii żołnierz włoski będzie się bił w razie najazdu wcale dobrze, albowiem bronić będzie własnej ziemi, poza tym — grać będzie dla galerii. " Całe Włochy patrzeć będą na niego a jeżeli Włoch /powiedział sprawozdawca/ wie, że patrzy na niego tłum, zdobywa się na iście szaleńcze czyny."

Jest w tym ujęciu sporo prawdy i uznać należy, że *poważniejsze traktowanie Włoch* i zagadnienia najazdu na włoski kontynent może nam wyjść tylko na dobre.

WAVELL WICEKRÓLEM INDYJ

Wyznaczenie marszałka Wavella na stanowisko, wicekróla Indyj, niezmiernie doniosłe w chwili tak ciężkiej dla zagadnienia Indyj — jest posunięciem ze wszech miar słusznym. Wavell cieszy się powszechnym uznaniem i mirem, jest bardzo popularny w USA, a nie zapominajmy, że właśnie stamtąd dochodziły w czasach ostatnich głosy krytyki pod adresem stanowiska i polityki brytyjskiej w Indiach.

Wavell jest osobistością wybitną; na czas wojny jest wymarzonym wprost wielkorządcą, ale przypuszczać należy, że również i w dobie pokoju potrafi on sprostać trudnym zadaniom. Jako człowiek energiczny, rzutki, o spokojnym sądzie może on dokonać wiele na gruncie indyjskim, który wymaga człowieka decyzji.

Tego rodzaju nominacja dowodzi, że teren Indyj i związany z nim teren Dalekiego Wschodu stanie się niebawem sceną ważnych wydarzeń.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

14 *czerwca: Z kraju nadeszła wiadomość, że oddziały bojowe na rozkaz Kierownictwa Walki Cywilnej zorganizowały napad na Busko, zawładnęły miastem i spaliły niemieckie urzędy. Miejscowy garnizon i urzędnicy niemieccy uciekli w panice.*

15 *czerwca: W nocy z 14 na 15 czerwca b.r. ciężkie bombowce R.A.F. dokonały nalotu na zachodnią Ruhrę. Głównym celem bombardowania było miasto Oberhausen, ośrodek przemysłu hutniczego i węglowego.*

—Polskie załogi z nocnego Lwowskiego Dywizjonu Myśliwskiego wykonały daleki patrol dzienny nad Zatoką Biskajską i skutecznie ostrzelały zgrupowanie pięciu nieprzyjacielskich okrętów podwodnych. Stwierdzono trafienia dwóch okrętów.

16 *czerwca: Generał Sikorski, przed wyjazdem z Bagdadu, konferuje z dowódcą wojsk alianckich w Persji i Iraku gen. Pownall'em. W konferencji tej wzięli również udział gen. Anders i gen. Klimecki.*

—Komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej donoszący, że Rada Ministrów powołała ambasadora Tadeusza Romera na stanowisko delegata rządu na Wschodzie.

17 *czerwca: Generał Sikorski w towarzystwie gen. Klimeckiego przybył samolotem do Beyrutu.*

—Król Jerzy VI przybył samolotem do Afryki w celu przeprowadzenia wizytacji pierwszej i ósmej armii brytyjskiej.

—Zamknięcie przez władze brytyjskie granicy syryjsko-tureckiej. Turcja zrywa stosunki z Vichy.

—W nocy z 16 na 17 czerwca b.r. samoloty R.A.F. przeprowadziły ciężki nalot na Kolonię.

18 *czerwca: Władze tureckie zarządziły zamknięcie niemieckiej księgarni propagandowej w Istambule.*

18 *czerwca: Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w jednym z miast Szkocji, ofiarowanej miastu przez żołnierzy polskich, którzy stacjonowali w tym mieście w latach 1940-42. Aktu odsłonięcia tablicy dokonał minister Obrony Narodowej gen. Kukiel.*

—Marszałek Wavell powołany na stanowisko wicekróla Indyj.

20 *czerwca: W nocy z 19 na 20 czerwca b.r. bombowce R.A.F.'u przeprowadziły ciężki nalot na zakłady Schneidera w Le Creusot we Francji. Zaobserwowano trzy wielkie eksplozje.*

—Wiadomości napływające z różnych źródeł o mnożących się objawach paniki we Włoszech w przede dniu inwazji.

Wojna na morzu

PANTELLARIA

Wypadki — jak na złość Mussoliniemu — potwierdziły znów jego słowa wypowiedziane w roku 1938, że " w przyszłej wojnie decydować będą marynarka i lotnictwo, podczas gdy wojsko wykorzystywać będzie stworzoną przez te dwie pierwsze dziedziny Siły Zbrojnej — sytuację strategiczną."

Bowiem generał Saunders, zastępca Szefa Sztabu Amerykańskich Sił Powietrznych, oświadczył w Waszyngtonie: " Operacja przeciwko Pantellarii, planowana była z początku, jako operacja mieszana — wojska, marynarki i lotnictwa. Jednakże, to pierwsze okazało się już zbyteczne. Pantellaria poddała się wskutek bombardowań lotniczych i ostrzeliwania przez okręty marynarki wojennej."

Oczywiście — Pantellaria jest wyspą. Taką samą wyspą o dużym znaczeniu strategicznym, jak Fehmarn, Bornholm czy Kotlin na Bałtyku. Ale leży przecież w pobliżu wybrzeża nieprzyjacielskiego. I wiele przemawia za tym, że to co zrobiono na Pantellarii może się powtórzyć nie tylko na Sycylii, Sardynii czy Krecie, ale równie dobrze w Kalabrii, Apulii czy Peloponezie. Wybrzeże lądu stałego nie różni się strukturą od brzegów wyspy a raczej przedstawia jeszcze większe możliwości operacyjne. Przykładem wybrzeże Polski od czasów najazdów szwedzkich po wrzesień 1939.

Jest jeszcze jeden paradoks, stale pokutujący w niektórych pracach wojskowych. Spotykaliśmy go nawet w prasie niemieckiej. I bodaj — że on stał u podstaw niepowodzeń oręża niemieckiego, zarówno w ubiegłej wojnie, jak w strategicznym związaniu Hitlera przez panowanie sprzymierzonych na morzu. Paradoksem tym jest stare powiedzonko, przypisywane Napoleonowi: " *un canon sur terre vaut un bateau sur mer.*" /Działo na lądzie warte jest okrętu na morzu./

Napoleon sam przekonał się o niesłuszności tego twierdzenia. Ale jeśli w jego czasach artyleria obrony wybrzeży miała szanse górowania nad artylerią żaglowców, to w dobie obecnej sytuacja, oczywiście w odpowiednich warunkach, może być odwrotna. A już w żadnym wypadku artyleria okrętowa nie jest upośledzona w stosunku do nadbrzeżnej.

Pamiętać należy, że okręty sprzymierzone, bombardujące w ubiegłej wojnie forty w Cieśninie Dardanelskiej, zostały wycofane w chwili, gdy baterie tureckie miały amunicji już tylko na godzinę ognia. I, że gdyby nie ten błędny, z lądu nadany rozkaz, to Konstantynopol zostałby w roku 1915 zdobyty.

I pamiętać należy, że nie tylko wybrzeże Libii, ale nawet tak silnie ufortyfikowany port, jak Genua, bombardowany był skutecznie w czasie obecnej wojny z morza. Oczywiście — w dzisiejszej chwili — współpraca lotnictwa i marynarki jest nieodzowna dla całkowitego powodzenia. Wojsko dochodzi do głosu później, w miarę rozwoju akcji.

Pantellaria jest klasycznym przykładem zdobycia silnie umocnionych pozycji lądowych przez lotnictwo i marynarkę. I nie darmo wielki Moltke w pamiętnikach swoich pisał: " Twierdze na brzegu pozwalają na odbieranie razów bez możności oddawania ich na dłuższą metę. Do obrony państwa potrzebna jest flota działająca na morzu i spędzająca zeń przeciwnika. Najsilniejsze fortyfikacje nie potrafią tego dokonać. Trzymać nieprzyjaciela zdala od naszych brzegów mogą tylko okręty."

A Lord Fisher twierdził, że — " zadaniem floty nie jest walczyć u własnych brzegów, lecz u brzegów przeciwnika." — Zadanie to flota brytyjska wypełnia dziś wyśmienicie.

I wołania Mussoliniego, że — " przed flotą włoską stanęło dziś najcięższe zadanie w dziejach świata " — ma w sobie też dużo prawdy. Tylko, że chowanie tej floty w portach bynajmniej nie ułatwi jej zadania.

STARA HISTORIA

Admirał Doenitz, jak wiemy, rozkazał swoim podwodnikom walczyć z samolotami na powierzchni, a nie chować się pod wodę. Radio berlińskie doniosło nawet o zestrzeleniu siedmiu samolotów brytyjskich przez załogi okrętów podwodnych.

Oczywiście — należy wziąć pod uwagę normalną przesadę niemiecką. Ale sam rozkaz Doenitza nie ma w sobie nic nadzwyczajnego. Jest bowiem rzeczą jasną, że okręt podwodny może tylko na powierzchni walczyć z samolotem. Pod wodą narażony jest na obrzucenie bombami głębinowymi, w biernym wyczekiwaniu aż go zniszczą, lub uszkodzą, zmuszając do wypłynięcia. Jedynie zanurzenie na bardzo wielką głębokość może być skuteczne, ale na to nie zawsze ma się czas i możliwość techniczną czy nawigacyjną.

Nie znaczy to jednak, aby okręt podwodny stał się przeżytkiem wobec rozwoju lotnictwa. Sprawa ta przedstawia się tak samo, jak z okrętami nawodnymi, o których zmierzchu mówiono już dawno, a które mimo to pływają i walczą skutecznie. Bowiem na lotnictwo nieprzyjaciela — prócz obrony przeciwlotniczej — jest jedno lekarstwo: własne lotnictwo!

Okręty podwodne Hitlera operują wprawdzie " stadami," ale pozbawione są należytego poparcia zarówno własnych okrętów nawodnych, jak i własnego lotnictwa. W tych warunkach panowania Sprzymierzonych na morzu i w powietrzu skazane są prędzej czy później na zagładę.

BITWA O ATLANTYK

Prasa angielska doniosła, że w najbliższych tygodniach bitwa o Atlantyk wejdzie w fazę decydującą według wszelkiego prawdopodobieństwa niepomyślną dla Hitlera. I daremnie jego admirał Lützow twierdzi, że niemieckie okręty podwodne zajęte są przygotowaniami w dziedzinie wywiadu i obrony wybrzeży — celem zapobieżenia spodziewanej inwazji. Ten nowy wykręt — przeczy znów uprzednim, stwarzając wrażenie, że propaganda niemiecka, dotychczas systematyczna, zaczyna tracić głowę i schodzi na manowce.

Pierwsza połowa czerwca była pod względem zatopień tak dla Niemców niepomyślna, jak bodaj jeszcze żaden z miesięcy wojennych. Nawet komunikat *Deutsches Nachrichten Büro* dość niezręcznie usiłował ciągnąć cyfry " za włosy," a mimo to dla okrętów podwodnych osiągnął tylko 45.000 ton. Nie wiemy oczywiście co będzie do końca miesiąca, ale taki " rezultat " pozwala z naszej strony na optymistyczne przewidywania.

I nie lepiej jest z flotą podwodną Mussoliniego. Nowy okręt podwodny " Tritone " /950 ton/ poddał się dwu kontrtorpedowcom brytyjskim, nie wytrzymawszy salwy bomb głębinowych. Nie obniżamy wartości marynarzy włoskich. Tym niemniej jednak okazuje się, że co innego było dawać salwy honorowe na cześć Hitlera w czasie słynnej rewii w Neapolu, a co innego jest walczyć.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Okręt podwodny O.R.P. " Dzik," w czasie działań na Morzu Śródziemnym, ugodził dwiema torpedami nieprzyjacielski statek-cysternę o pojemności około 7.000 ton. Statek naładowany był ropą, zapalił się i według wszelkiego prawdopodobieństwa zatonął.

Okręt O.R.P. " Błyskawica," jak już wiadomo, brał udział w kampanii afrykańskiej od początku do końca. Dowódca Floty Śródziemnomorskiej — Admirał Sir Andrew Cunningham — zwycięzca z pod Taranto i Matapan — oświadczył, że " Błyskawica " wyróżniła się wybitnie w czasie tych działań. Dodał też, że życzy okrętowi polskiemu, aby dzień zwycięskiego powrotu do jego Wielkiej Ojczyzny nadszedł jak najprędzej.

Dowódca O.R.P. " Błyskawica " otrzymał *Distinguished Service Order* — wysokie brytyjskie odznaczenie bojowe.

Pamiętać należy, że O.R.P. " Błyskawica " walczy od pierwszego dnia wojny. " Burza," " Grom " i " Błyskawica " stanowiły zespół okrętów, dzięki któremu walka z nieprzyjacielem nie ustała ani na chwilę. Już bowiem 7-go września 1939 roku na Morzu Północnym okręty te miały styczność z wrogiem, przyczem O.R.P. " Błyskawica " prawdopodobnie zatopił nieprzyjacielski okręt podwodny. Miało to miejsce na dwanaście dni przed zajęciem Oksywia, a na 25 dni przed zajęciem Helu przez Niemców. Zatem Polska Marynarka Wojenna była wówczas jedynym ogniwem łańcucha w nieprzerwanej walce o niepodległość. Aż do chwili kiedy lotnictwo i wojsko walkę tę z kolei podjęły.

20-go kwietnia 1940 roku, komunikat niemiecki oficjalnie doniósł o zatopieniu O.R.P. " Błyskawica " torpedą. Na szczęście komunikat ten pozostał w sferze " pobożnych życzeń " Hitlera. Torpeda wystrzelona wówczas przeciwko " Błyskawicy " nie dosięgła polskiego okrętu. Wyroki Opatrzności stanęły w poprzek jej torowi.

Dziś O.R.P. " Błyskawica " walczy dalej, pływając po dalekich wodach. Ale jeśli wszystkie drogi wiodą do Rzymu, to ze wszystkich wód świata można trafić do Polski.

JULIAN GINSBERT

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.V.1943 do 31.V.1934

Lotnictwo myśliwskie		
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:		
pewnych	—	2
prawdopodobnych	—	6
uszkodzonych	—	12
Piloci polscy w Afryce Północnej:		
pewnych	—	1
uszkodzonych	—	1
prawdopodobnych	—	1

Lotnictwo bombowe	
Ilość wypraw: 16	Łączna ilość samolotów: 145
Główne cele: bombardowanie ośrodków przemysłowych i portów. Minowanie wód nieprzyjacielskich. Patrolowanie mórz i walka przeciw żegludze nieprzyjaciela.	

Razem od początku działań do 31.V.1943 na terenie Anglii i Bliskiego Wschodu

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela		
pewnych	—	540
prawdopodobnych	—	145
uszkodzonych	—	174.1/6

Ilość wypraw: 518	Łączna ilość samolotów: 5243
Samoloty Dowództwa Obrony Wybrzeża prawdopodobnie zatopiły 6 i uszkodziły 7 okrętów podwodnych.	

Lotnictwo Współpracy wykonało 38 lotów operacyjnych

Kraj trzech koron

CENTRALA INFORMACYJNA

Jak w czasie każdej wojny, tak i obecnie, kraje neutralne są źródłem wiadomości przekraczających linie frontu i dających wojującym stronom mniej lub więcej dokładny obraz sytuacji wewnętrznej w obozie przeciwnika. Do niedawna najpoważniejszym dostawcą wiadomości o Niemczech i krajach okupowanych była Szwajcaria. Po uzupełnieniu okupacji Francji pierwszeństwo uzyskała Szwecja. Stało się to nie tylko z powodu dosyć dobrego położenia geograficznego, ale głównie dzięki temu, że stosunki Szwecji z obu stronami wojującymi są ożywione, a doskonały, nawskróś nowoczesny aparat prasowy ułatwia zdobywanie cennych wiadomości.

Prasa szwedzka posiada niezwykle duże nakłady w stosunku do zaludnienia kraju, i zapewne dzięki temu doskonale rozwiniętą sieć korespondentów zagranicznych. Dziennikarze na ogół starają się zachować bezstronność w ocenie wydarzeń politycznych, a jeśli szukają sensacji, to najwyżej w podawaniu pogłosek i przedwczesnych wiadomości z frontu lub na temat działalności tej lub innej wysoko postawionej osoby. Oczywiście działalność prasy szwedzkiej jest obecnie dość ograniczona wskutek wprowadzenia cenzury i nacisku ze strony Niemiec, tym niemniej Szwedzi potrafią się nie raz zdobyć na wypowiadanie poglądów zupełnie przeciwnych interesom Rzeszy.

Dla Polaków sprawy szwedzkie powinny być interesujące nie tylko, jako tło działalności tej najważniejszej centrali informacyjnej, przynoszącej tak często smutne wieści z kraju, ale również powinno nas interesować życie społeczeństwa oddzielonego od Polski tylko przez Bałtyk, który nie rozdziela nas przecie, ale raczej łączy. Że Bałtyk łączy nas ze Szwecją to widać było z ożywionych stosunków handlowych, jakie utrzymywaliśmy przed wybuchem wojny. Przecie do niedawna statki z banderą szwedzką zajmowały pierwsze miejsce w ruchu portowym Gdyni! A produkcja najlepszych gatunków stali w hucie "Batory" była uzależniona od dostaw szwedzkiego surowca z Kiruny.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO POKOJU

W ciągu naszych dziejów mieliśmy zresztą różnorakie stosunki polityczne z tym narodem ożywionym jeszcze wojowniczością Wikingów. Nie zawsze były to stosunki przyjemne, czego dowodem może być choćby piosenka z "Trylogii: "Bij-że Szweda bij, wziąwszy tęgi kij; siecz-że Szweda, siecz, wyostrzywszy miecz!" Teraz nadeszły inne czasy i najbardziej wojowniczy szczep północny, opierający swój byt gospodarczy na rabunku i łupach wojennych, stał się jednym z najbardziej cywilizowanych narodów, posiadającym bogate i dobrze zagospodarowane państwo oraz . . . wyjątkowo uśmiechającą się fortunę, oszczędzającą krajowi nieszczęść wojennych od 300 lat. Nie dziw więc, że mając trwałe podstawy spokojnego bytowania Szwecja potrafiła stworzyć kulturę, cywilizację i ogólny dobrobyt społeczeństwa.

Ten dobrobyt i stosunkowo równomierny podział dóbr aż kłuje w oczy człowieka przybywającego do Szwecji nie tylko z Polski, ale nawet z Wielkiej Brytanii. Brak bowiem w Szwecji kasty ludzkiej, gnieżdżącej się w ubogich dzielnicach miast brytyjskich, pariasów z londyńskich "*slums.*" Robotnik rolny i leśny posiada dobre warunki pracy, bo obszar kraju jest duży, ludność nieliczna—6 milionów o słabym przyroście naturalnym (przedostatnie miejsce w Europie, przed Francją). Szczególnie po zmobilizowaniu armii odczuwa się tu dotkliwy brak rąk roboczych. Działalność kapitalistów jest w znacznej mierze ograniczona istnieniem potężnych organizacji robotniczych, popieranych przez rząd socjalistyczny.

Ogólny dostatek tłumaczy brak żebractwa, trzywiekowe błogosławieństwo pokoju jest przyczyną braku kalek i powodem wysokiego poziomu zdrowotnego ludności. A kalek musiało być kiedyś niemało, gdy obowiązywały bardzo ostre kary za przestępstwa: za kradzież obcinano rękę, za oszczerstwo język. Jednakże ten drakoński system karny okazał się doskonałym systemem wychowania społeczeństwa. Z powszechnym dobrobytem i rozumnie pomyślaną prohibicją właśnie wychowanie społeczne Szweda jest podstawą ogólnego poszanowania cudzej własności i prawie całkowitego zlikwidowania przestępczości.

Co prawda należy tu dodać, że w związku z ograniczeniami wojennymi i napływem elementu zagranicznego nastąpiła pewna demoralizacja i poziom uczciwości obniżył się. Występują typowe objawy wojennej demoralizacji handlu: czarny rynek, paskarstwo i handel kuponami żywnościowymi, szczególnie na towary kolonialne. Już na więzieniach nie można zobaczyć znaku, częstego przed wojną— białej flagi, oznaczającej brak lokatorów. Był to piękny i dumny symbol. Obyśmy go mogli kiedyś zobaczyć nad Świętym Krzyżem, Łukiszkami czy Pawiakiem.

POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI

Szwedzi są w ogóle dumnym narodem. Dumni są ze swej pracowitości, rzetelności, zmysłu organizacyjnego, wysokiej stopy życiowej. I mogą być dumni z tego. Typowym przykładem szwedzkiej pracy, rzetelności i organizacji jest ruch spółdzielczy, który stanowi osiągnięcie społeczne wysokiej klasy i godne naśladowania. To też wiele młodych ruchów spółdzielczych brało za wzór swe szwedzkie odpowiedniki, ale chyba żaden z nich nie potrafił się ukształtować tak rozsądnie i dalekowzrocznie, wnosząc istotne walory do systemu gospodarczego kraju.

Szwedzi są również dumni ze swego pochodzenia. Mają taki mały kompleks wyższości rasowej. Czy w tym wypadku mają słuszność, to sprawa sporna. Rosenberg cieszyłby się na pewno, gdyby mógł naliczyć w Niemczech taki wysoki odsetek wysokich, długogłowych i niebieskookich blondynów, jaki posiada Szwecja. Zachwycony byłby dorodnością i "rasowością nordycką" Szwedów i Szwedek. Zresztą nie można zaprzeczyć, że z prawdziwą przyjemnością obserwuje się tłum szwedzki. W czasie zabaw ludowych w pięknym sztokholmskim parku, zwanym Skansen, zabaw, które zastępują ludziom szynk i karczmę podczas białych skandynawskich nocy, na kamienistych plażach i w nowoczesnych pływalniach, na szosach rojących się od rowerzystów i pieszych wycieczkowiczów — wszędzie, wszędzie ładni, przystojni ludzie, posiadający lekką skłonność do tycia w późniejszym wieku. Po pewnym czasie ta standaryzacja piękna staje się monotonna i nudna. Aż żal chwilami brzydoty i oryginalności.

POZYCJA POLITYCZNA

Szwecja znajduje się obecnie w niezwykle trudnej sytuacji politycznej. Rząd otoczonego przez morze niemieckości kraju, trzyma się twardo ścisłej neutralności, aby uchronić dorobek dziejowy przed zniszczeniem. Ogółowi społeczeństwa szwedzkiego obcy jest imperializm, obojętnie czy będzie on czarny, brunatny czy czerwony. Bolszewizm i poziom życia mas w Sowietach są powodem obawy przed niebezpieczeństwem ze Wschodu. Dlatego w czasie pierwszej wojny fińsko — sowieckiej sympatie były całkowicie po stronie kulturalnej Finlandii. Sporo ochotników walczyło na froncie, ewakuowane dzieci i ranni żołnierze znaleźli w Szwecji gościnę, wysyłano transporty żywności, transporty materiałów wojennych i sanitarnych. Ale od wystąpienia czynnego po stronie fińskiej Szwecja była niezmiernie daleka.

Bardzo wyraźne i zdecydowane stanowisko zajmują Szwedzi wobec wszelkiej działalności elementów wywrotowych i sabotażystów, niezależnie od ich zabarwienia. Ponieważ panujący ustrój polityczny okazał się dobry, więc nawet przeciwnicy polityczni socjalistycznego rządu nie chcą w dobie obecnej żadnych zmian i wszelkie próby zarówno skomunizowania, jak shitleryzowania nie mogą być uwieńczone sukcesem. Polityczna neutralność przeciętnego Szweda mogłaby być ujęta w formie takiego rozumowania:

—"Mam dobre warunki bytowania, a mój rząd prowadzi taką politykę, jaka daje krajowi maksimum korzyści. Każda zmiana mogłaby wyjść tylko na gorsze. Bolszewizm pokazał swe prawdziwe oblicze w walkach w Finlandii, hitleryzm i wszelki totalizm — to bezduszne ustroje militarystyczne. Jakież okropne warunki panują w Norwegii, co okupanci z quislingowcami wyprawiają w kraju, który do niedawna stanowił z nami jedno państwo. Jaki jest teraz los naszych znajomych i przyjaciół z Oslo, Bergen, Trondhjem. Nikt nie zna dnia ani godziny . . . A okrucieństwa i masowe mordy w Polsce, Czechosłowacji, Jugosławii, widmo głodu w Grecji — to wszystko symbole nowego porządku Hitlera. Wolę nasz stary porządek!"

Partia hitleryzująca "S.S.S." nie znajduje oparcia w masach, mimo swej krzykliwej propagandy, robionej oczywiście za pieniądze niemieckie, lub też za sprawą handlującego z Niemcami ciężkiego przemysłu. Z proniemieckimi dziennikami "*Stockholms Tidningen*" i brukowym "*Aftonbladet*" prowadzi walkę cała reszta prasy szwedzkiej. Były one ostro atakowane za aferę werbowania ochotników do armii fińskiej już po wybuchu konfliktu niemiecko — sowieckiego, dokonanego przy współudziale niemieckiego aparatu konsularnego. Puszczały również balony próbne — straszaki o rzekomym planowaniu ataku floty sowieckiej na południowe porty szwedzkie. Kaczek w tym stylu ukazuje się na terenie Szwecji dość dużo. Jest to typowa wojna nerwów. Partia "S.S.S." choć mała liczebnie, starała się podobnie, jak to czynili quislingowcy w Norwegii, poobsadzać najważniejsze stanowiska przydatne do paraliżowania oporu kraju i stać się V. kolumną atakującej armii niemieckiej.

POSTAWA WOBEC NIEMIEC I WOJNY

Stosunek do Niemiec ulega w Szwecji przeobrażeniom zależnie od zmian w sytuacji wojennej i politycznej. Do ataku na Norwegię Niemcy cieszyły się względnie dobrą marką. Dopiero ten moment zachwiał wiarę Szwedów w poszanowanie neutralności i zmobilizował siły do stawienia czoła ewentualnemu najeźdźcy. Wciąż nowe i nowe roczniki przeszły przeszkolenie, rozpoczęto gromadzić sprzęt na własne potrzeby. Jak wiemy Szwedzi posiadali wiele wartościowych patentów z dziedziny uzbrojenia i dobrze rozwinięty przemysł wojenny. Inżynierowie takich znanych zakładów, jak "Bofors" przestali obmyślać nowe typy dział i karabinów na zapotrzebowanie wojującej zagranicy, lecz w celu obrony własnej ojczyzny. Handel materiałami wojennymi, który w ciągu wojny poprzedniej tak znacznie podniósł zamożność kraju, został znacznie zmniejszony. Wojsko, flota i lotnictwo królewstwa Szwecji otrzymały nowe i bogate wyposażenie. Jeśli porównać stan i wygląd armii z czasu ataku Niemców na Norwegię z postawą żołnierza szwedzkiego obecnie, to widać olbrzymi krok naprzód, widać, że stworzono poważną siłę niemal z niczego, bo z garstki zawodowej armii i gwardii królewskiej. Ekwipunek i umundurowanie uderza dobrocią gatunku, praktycznością i przystosowaniem do warunków miejscowych. Nie widać sprzętu przestarzałego, nie nadającego się do użytku.

Trudno oceniać wartości żołnierza, który tak długo nie miał doświadczeń wojennych, jak żołnierz szwedzki, ale posiada on poza doświadczeniem i wysokim poziomem cywilizacyjnym wszystkie dane na to, aby się bić dobrze. Szwed jest silny fizycznie, wysportowany, bardzo chętnie uprawia wycieczkowanie i camping. W każdym razie armia szwedzka nawet w tak niekorzystnych warunkach geopolitycznych, jak obecne, mogłaby stanowić dla napastnika orzech twardy do zgryzienia. To też zaatakowanie jednego z ostatnich neutralnych przez Niemcy trzeba by uważać za błąd. Jest to o tyle nieprawdopodobne, że względny sukces militarny stworzyłby w zamian za sprzęt i surowce, które i tak są do Niemiec w pewnych ilościach wysyłane, nowego podziemnego wroga, rozsadzającego Niemcy od wewnątrz.

Już przepuszczenie przez Szwecję niemieckich transportów wojska i materiałów wojennych z Norwegii do Finlandii, wskazujące na pewną chwiejność polityki zagranicznej rządu, wywołało duże niezadowolenie i akty przeciwdziałania w postaci zamachów na pociągi. Eskorta szwedzka transportów ludzkich bardzo rygorystycznie pilnowała wypełnienia warunków umowy, nie pozwalając żołnierzom niemieckim na oddalanie się od pociągów.

POSTAWA WOBEC ALIANTÓW

Ostatnio Niemcy coraz bardziej tracą popularność w Szwecji. Przez pewien czas po wybuchu wojny "antybolszewickiej" obawiano się niemieckiej potęgi, a częściowo ulegano wpływom antysowieckiej propagandy Niemiec. Wielka Brytania i St. Zjednoczone zawsze cieszyły się ogromną sympatią społeczeństwa niezależnie od lepszej czy gorszej sytuacji na frontach, ostatnio zaś głównie pod wpływem sytuacji w Norwegii sympatie proalianckie wzrastają.

Dla zobrazowania nastrojów może posłużyć fakt, że film o spotkaniu atlantyckim Churchill — Roosevelt był przyjęty przez publiczność szwedzką z entuzjazmem. Brawa i oklaski były tak gorące i spontaniczne, że na drugi dzień ukazał się na ekranie przed wyświetleniem filmu następujący napis: "Szwecja jest i musi pozostać neutralna." A poniżej mniejszymi literami: "Publiczność jest proszona o nieokazywanie swych uczuć."

Oto jest próbka polityki rządu: neutralność, neutralność za wszelką cenę, choćby wbrew przekonaniom. Rząd lawiruje między wpływami Sprzymierzonych i Osi jak okręt po morzu, usianym rafami koralowymi. Dotąd lawirowanie to jest dość pomyślne — okręt pływa prawie nietknięty.

Dowodem tej oportunistyczno-egoistycznej polityki mogłaby być audiencja udzielona niedawno przywódcy nazistowskiej "S.S.S." przez sędziwego króla Gustawa V. Jednak nie należy tego wydarzenia przeceniać, ponieważ każdy poddany króla może bardzo łatwo taką audiencję uzyskać, a poza tym polityczne znaczenie monarchy jest stosunkowo niewielkie. Tym nie mniej Szwedzi są bardzo przywiązani do domu panującego wywodzącego się od napoleońskiego marszałka Bernadotte. Z drugiej strony rodzina królewska doskonale potrafiła dostosować się do panującego ustroju demokratycznego. Bezpośredniość i prostota obejścia jest przyczyną popularności monarchy i jego potomków.

WIDOKI POWOJENNE

Szwecja w powojennym układzie europejskim musi odegrać poważną rolę. Jako państwo niezrujnowane, silne gospodarczo, musi stać się ośrodkiem pomocy dla krajów zniszczonych. Jako największe państwo skandynawskie, powołane jest do wzięcia poważnego udziału w organizacji bloku skandynawskiego, choć Norwegia jako biorąca udział w konflikcie po stronie sprzymierzonych będzie miała większe zasługi. Właśnie rywalizacja norwesko — szwedzka może być najgroźniejszą przeszkodą w organizacji Europy Północnej. Stało się już tak w czasie formowania "bloku Oslo" i zjazdu trzech królów i prezydenta Kallio w Sztokholmie. Ponadto Szwedzi uważani są za arystokratów przez pozostałe narody skandynawskie i rzeczywiście mimo swej całej demokratyczności, zachowali pewien arystokratyczny styl życia. Dalej przy zdrowym rozsądku i talentach organizacyjnych Szwedom trochę brak polotu i błyskotliwości rozumowania. Na ogół i historia i polityka i stosunki ludnościowe dają dowody, że naród szwedzki osiągnął już punkt szczytowy swej świetności. Obecnie jest już rentierem, odcinającym kupony z akcji zdobytych w czasie prężności i dynamizmu.

Jako doskonały przykład "demokracji stosowanej" i co teraz takie modne, p l a n o w a n e g o zorganizowania państwa — kraj trzech koron szwedzkich, pozostanie zawsze przykładem godnym naśladowania w wielu dziedzinach życia gospodarczego i społecznego. Każdy może się wiele nauczyć od pracowitego i wytrwałego narodu Północy.

ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

27 CZERWCA

W tym dniu przypadają Imieniny Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza i Naczelnego Wodza generała Władysława Sikorskiego. Bardziej niż kiedykolwiek skupią się wokół dwu przedstawicieli Sprawy Polskiej, wokół dwu ludzi obciążonych najcięższą za jej bieg odpowiedzialnością — życzenia żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych i życzenia wszystkich uczciwych Polaków. I będą te życzenia gorętsze, bardziej zespolone, niż kiedykolwiek.

Ostatnie wydarzenia dały nam wszystkim lekcję poglądową, że naszą siłą tam w Kraju i tu w Wielkiej Brytanii i wszędzie na szerokim świecie, dokąd Polaków zaprowadził obowiązek, lub zagnał zły los — jest jedność opinii, jedność uczucia, jedność działania, jest bezwzględna solidarność wobec rzeczy pierwszej wagi. Obserwujemy czujnie, ale z niezachwianym spokojem, że właśnie w tę solidarność usiłują uderzać nasi wrogowie, że są ośrodki, które posuwają się do obelg przeciw Głowie naszego Państwa, które usiłują poddawać w powątpiewanie legalność Rządu Rzeczypospolitej, jego niezaprzeczone, oczywiste i wyłączne prawo reprezentowania c a ł e g o Narodu Polskiego.

Wiemy dobrze do czego zdążają te wysiłki. I wiemy, jak na nie odpowiedzieć w tej chwili i w dalszym rozwoju wypadków, który kryje jeszcze wiele niespodzianek. I wiemy, że nasza odpowiedź, nasza stała, godna postawa, będzie rozumiana przez świat. Dlatego w każdej chwili, przy każdej sposobności zaświadczajmy wobec siebie i innych nasze przywiązanie do symbolów, do ludzi, do sił, które stanowią o życiu i przyszłości Niepodległego Państwa, stojącego na gruncie granic z przed września 1939 r., na gruncie ustroju i praw w tych granicach przez naród suwerenny stanowionych, bronionych przez Siły Zbrojne w walce nieprzerwanej od początku wojny.

Gdy piszemy te słowa, Naczelny Wódz nie wrócił jeszcze z podróży na Środkowy Wschód, do stacjonującej tam i zbrojącej się Armii Polskiej. W czasie tej podróży generał Sikorski wielokrotnie przemawiał z upoważnienia Prezydenta Rzeczypospolitej i w imieniu całego jej Rządu. Chciał w ten sposób zaświadczyć jedność tej Armii z nami, z całym narodem — w odczuciu i ocenie spraw wspólnych, w myśleniu i działaniu.

Zbiorowość żołnierska w Wielkiej Brytanii dojrzewa coraz głębiej, coraz bardziej świadomie do odczucia tej solidarności wobec spraw, które dotyczą naszego Kraju, jego losu i jego przyszłości. W tym odczuciu święcić będzie ona Dzień Imienin Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza.

Niezłomne serca

Dokumenty martyrologii polskiej

V.*

W ostatnich miesiącach jakby nieco zmalał dystans między "wyspą szczęśliwości," jaką jest dla wszystkich narodów alianckich Wielka Brytania, a obozami jenieckimi — tam, w państwie mroku i przemocy. Wielu kolegów zza drutów, nie bacząc na niewiarygodne wręcz trudności, zdołało dotrzeć do naszych szeregów. Są pośród nas — żywi i o prawdzie gorzkiej niedoli świadczący. Jak gdyby ambasadorowie wielkiej rzeszy nieobecnych — wobec naszych sumień.

Mówią do nas. Jedni, jak kolega L.M. — plastyką faktów, opowiadanych z tak straszliwą bezpośredniością, iż wystarcza przymknąć oczy, by widzieć upiorne obrazy codziennej ich udręki.[1] Inni, jak kolega Jacek Lis — idą dalej. Konfrontują dwie rzeczywistości tę zza drutów i naszą emigracyjną — by bić na alarm.[2]

Dawno nie czytałem słów tak mocnych i tak tragicznych. Jest w nich coś na miarę Skargi, Żeromskiego i Piłsudskiego — jakiś wizjonerski lęk przed rodzimą *małością*, próbującą na przestrzeni całych naszych dziejów dochodzić do głosu właśnie w momentach najwyższych wzlotów polskiego Króla Ducha — Jego *wielkości*.

W tej walce o górowanie dobra i zła wielkość zwycięży. Ale macie rację, kolego, że czas najwyższy, by ścieżki polskiego życia emigracyjnego prostować i uparcie ludziom przypominać, że "*noblesse oblige*" — przywilej wolności i sytego dobrobytu nakłada na wszystkich podwójną wręcz odpowiedzialność, spotęgowaną przez fakt oczywisty, że reprezentujemy tutaj nie tylko samych siebie, ale i — przede wszystkim — rzeszę naszych kolegów nieobecnych. Żywych, zmarłych, poległych i bestialsko pomordowanych.

Zgodnie z zapowiedzią, daną w nr. 15. "Polski Walczącej," chcę dziś pisać o żywych. Z jakiego tytułu? Z tytułu bardzo skromnej pracy społeczno-koleżeńskiej w zaprzyjaźnionej Turcji, gdzie — dzięki tysiącom listów jenieckich — istniały lepsze może, niż gdzieindziej możliwości stworzenia sobie ogólnego obrazu.

Cel — owo wspomniane na wstępie "umniejszanie dystansu." Artykuł kolegi Jacka Lisa nie pozostawia wątpliwości, że mimo dotychczasowych wysiłków, dzieli nas jeszcze — przepaść. Zacznijmy od stwierdzenia prostej prawdy dotyczącej materialnych warunków bytowania. Oto treść suchej korespondencji opublikowanej 9 miesięcy temu na łamach "Wieści Polskich" wydawanych w Budapeszcie — a więc w zasięgu rygorystycznej cenzury osiowej. Bezpretensjonalny tytuł: "Zza drutów kolczastych — życie w Oflagach"[3]:

W niemieckich obozach jeńców przebywa jeszcze znaczna liczba oficerów polskich, których nie przydziela się do prac, jak na przykład dzieje się to z naszymi żołnierzami. Życie w Oflagach koncentruje się w barakach z trzypiętrowymi pryczami oraz na dziedzińcach, przeważnie dość obszernych, otoczonych drutami kolczastymi i pilnie strzeżonych. Na dziedzińcach wolno przebywać jedynie przy świetle dziennym. Współżycie koleżeńskie w poszczególnych kwaterach oficerskich jest bardzo serdeczne. Każdy barak to jakby wspólna rodzina, związana wieloma węzłami, zadzierzgniętymi jeszcze na polu bitwy.

Program dnia i zajęcia ustalane są przez niemieckiego komendanta obozu jeńców. Pobudka, zależnie od pory roku, odbywa się o godz. 6-ej lub 7-mej rano. Do zajęć obowiązkowych należy obecność na apelach i ćwiczeniach fizycznych, od których jednak można być w pewnych wypadkach zwolnionym /choroba, wiek i t.p./. Na dziedzińcach można się opalać, spacerować, czasami nawet uprawiane są ogródki warzywne. Bardzo wiele czasu wolnego poświęca się na zajęcia zbiorowe, prace indywidualne, gry towarzyskie i t.d.

Największy nacisk obozu położony jest na prace kulturalno-oświatowe. Prawie wszystkie Oflagi mają zorganizowane kółka śpiewacze, orkiestry, teatry amatorskie, kursy języków obcych. Wielu oficerów pracuje indywidualnie, bądź poświęcają się zajęciom praktycznym. Przejawia się wiele nowych talentów twórczych. Oficerowie zajmują się literaturą, malarstwem, rzeźbą, muzyką.

Interesów obozu na zewnątrz broni mąż zaufania, który też reguluje stosunki wewnętrzne obozu.

Jako jedyne stowarzyszenie społeczne, dopuszczone na teren obozów, działa polska YMCA w zakresie przede wszystkim kulturalnym. Wolno jej dostarczać książek, instrumentów muzycznych, pewnych rekwizytów teatralnych i t.d. Polska YMCA stara się też o zorganizowanie dostawy żywności z zagranicy, na razie jednak osiągnęła w tym kierunku słabe wyniki.

Oficerowie polscy w obozach niemieckich otrzymują miesięczne pobory w markach niemieckich. Pobory te wynoszą: podporucznik 24 rm., porucznik 27 rm., kapitan 32 rm., major 37 rm., podpułkownik 43 rm., pułkownik 45 rm. Potrącenia z poborów są minimalne, są to przeważnie potrącenia administracyjne. I tak np. podporucznikowi potrąca się miesięcznie około 1 rm. Przy wyższych poborach potrącenia są proporcjonalnie większe. Oczywiście nie bierze się pod uwagę dobrowolnych składek jeńców na cele dobroczynne.

Dzienna porcja chleba wynosiła do października 1941 roku 200 gramów, następnie została obniżona do 160 gramów. Na śniadanie wydawana jest kawa, na obiad podaje się ziemniaki i kapustę lub, w rzadszych wypadkach, kaszę i zupę. Na kolację wydawana jest kawa.

Każdy obóz posiada kantynę, w której można zakupić pastę do zębów, pastę do butów, żyletki, sznurowadła, papier, ołówki i t.d. Tytoniu i artykułów żywnościowych w kantynach się nie sprzedaje. Zakupów poza kantyną dokonywać nie wolno.

Opiekę lekarską wykonują polscy lekarze. Obozów opuszczać nie wolno nawet pod eskortą."

Zwracam uwagę na zupełny brak patosu w zobrazowaniu tej — jak się wydaje — dość bezstronnie ujętej rzeczywistości jenieckiej. Patos, przy odrobinie wysiłku wyobraźni, tkwi natomiast w prawdzie "160 gramów chleba dziennie," w obliczu owych kantyn, w których "tytoniu i artykułów żywnościowych się nie sprzedaje" i w "słabych wynikach starań o dostawy żywnościowe z zagranicy."

Dane pochodzą z sierpnia 1942. Wiemy, że od tego czasu P.C.K. zdołał zaktywizować swą działalność. Dochodzą nas również echa bardzo rozległej akcji pomocy koleżeńskiej prowadzonej przez Armię Polską na Wschodzie. Z drugiej znów strony zdaje się nie ulegać wątpliwości, że warunki aprowizacyjne Rzeszy uległy dalszemu pogorszeniu. Faktem pozostaje, że rzeczywistość — tak jak ją odmalowały "Wieści Polskie" — jest po prostu głodem.

Nie łudźmy się, że jest inaczej. O głodzie bezpośrednio jeńcy piszą bardzo rzadko. Nie pozwala na to poczucie honoru, żołnierska ambicja, wymagające dobrej miny w najgorszej nawet sytuacji, no i potrosze . . . rygorystyczna cenzura niemiecka.

Niekiedy jednak naga prawda dochodzi, mimo wszystko, do głosu. Jeden z kolegów rtm. K. — któremu zdołałem dostarczyć pierwsze po dwuletniej przerwie wiadomości od żony, deportowanej do ZSRR, pod datą 20.VII.32 pisze:

"*Wzruszenie dławi mi gardło, oczy wciąż mi zalewa łza radości i nadszczęścia. Wprost nie wiem co pisać . . . Dziś pada deszcz a mnie się zdaje, że słońce świeci, że jestem najedzony, że dusza się wyrwała hen na wolność . . .*"

Inny z kolegów, w odpowiedzi na żartobliwą zapowiedź rychłego spotkania się u Kozioła we Lwowie, pisze:

"*Jeżeli nie zwiększycie przydziału paczek, raczej Łyczaków /cmentarz/ stanie się bardziej aktualnym miejscem spotkania.*"

Stary, zasłużony żołnierz — płk. O'B. de L. ? w maju 1942 tak oto naświetla swą sytuację:

"*Bardzo jestem wdzięczny za paczkę, bo wobec wytworzonej sytuacji i drożyzny z domu brać nic, poza chlebem, nie mogę . . . Napisz mi, czy jest możliwość przysłania bucików — chodzę już w drewniakach.*"

A czyż nie jest wzruszające takie oto podziękowanie za jakże skromną standardową paczkę turecką /suszone owoce i tytoń/[4]:

"*Jest to pierwsza moja turecka paczka. Część orzeszków odsypałem do malutkich woreczków i schowałem na wilię Bożego Narodzenia. Po prawdziwym tytoniu powstaje w głowie mgiełka . . .*"

Ileż podziwu mieć należy dla ludzi, którzy w tych warunkach wykazują mimo wszystko i przy każdej okazji zdumiewający hart ducha, wiarę w przyszłość a nawet poczucie humoru. Oto kilka cytat:

"*. . . poza tym jest wszystko w porządku. Humor mamy. Fizycznie się trzymamy. Czas mimo wszystko leci, tak że czujemy się coraz bliżej celu. Spodziewam się, że o nas nie zapominacie.*"

/generał B. — 27.VIII.42/.

"*U nas wszystko dobrze. Nastrój mocny, mimo idącego czwartego roku wojny, ogromnie ułatwi przetrzymanie tej ostatniej już zimy.*"

/generał P. — 21.IX.42/.

"*O mnie pewno Pan wie. Szefowałem w Warszawie. Cóż za fantastyczna improwizacja . . . My tu trzymamy się dobrze, wierząc, że wszystko będzie dobrze . . .*"

/płk. dypl. T. — 9.IX.42/.

"*Czuję się zdrowotnie dobrze — humorek mimo wszystko dopisuje. Czekamy oczywiście na finisz . . .*"

/płk. dypl. W. — 27.IX.42/.

"*Za serce dziękuję. Wierzajcie mi, że jestem zdrów! Paczkę otrzymałem i za nią dziękuję. Pamiętajcie wszyscy i na każdym polu, że jednak lekko nam tutaj nie jest . . .*"

/kpt. G. — 5.VI.42/.

"*Z całego serca dziękuję za paczkę i słowa otuchy. Dobre słowo też krzepi . . .*"

/por. D. — 22.VI.42/.

"*Znacznie lżej znosić niewolę, gdy się wie, że ktoś troszczy się o jeńca, że myśli o nim . . .*"

/pchr. P. — 12.VIII.42/.

Odrębną grupę stanowią jeńcy, których rodziny zostały deportowane do ZSRR. Dławieni niepokojem o los najbliższych, skazani w swej przymusowej bezczynności na mękę najczarniejszych przewidywań, stanowią zastęp ludzi najbardziej może nieszczęśliwych. Rzecz jasna, szukają oni ratunku dla swych najbliższych na wszystkich dostępnych im drogach.

Nie wiem ilu zdołało dotrzeć do M.C.K. w Genewie i do P.C.K. w Londynie. Wiem natomiast, że zaimprowizowana w Ankarze kartoteka osób poszukiwanych w ZSRR na przestrzeni od 31 lipca 41. do 22 grudnia 42. urosła do pokaźnej cyfry 4800 nazwisk. Olbrzymia większość — nie mniej niż 90% — to rodziny jeńców i internowanych.

Drogą ogromnego wysiłku zdołałem wespół z moim pomocnikiem, majorem K., nawiązać kontakt z 855 osobami, objętymi tą listą. Gros osób dało się uchwycić bezpośrednio po pierwszej i drugiej ewakuacji do Teheranu, skąd dalsza korespondencja z mężami, ojcami, braćmi i synami, przebywającymi w niewoli niemieckiej, była już tylko sprawą pokonania czysto technicznych trudności. W liczbie odnalezionych mieści się nadto paręset nazwisk, figurujących na t.zw. liście "objętych opieką władz polskich w ZSRR." Wieści od nich docierały niestety bardzo rzadko i nieregularnie.

W tragicznie niepokojących barwach zarysowuje się ich los na tle ostatnich wydarzeń. W jeszcze większym bodaj stopniu dotyczy to tych rodzin, na których ślad w okresie z górą półtorarocznej współpracy polsko-sowieckiej w ogóle natrafić nie zdołano. Miarą przekroju tego zagadnienia niech będzie cyfra 3945, figurująca na "hipotece" samej tylko Ankary. Są to nazwiska, o których do końca 1942 roku nic nam nie mógł powiedzieć ani Kujbyszew, ani Teheran. Nie trudno się domyśleć, jak wygląda uczuciowa reakcja jeńców, skazanych na niezmienne negatywne odpowiedzi . . .

Stwierdzić zresztą należy, że nawet w okresie najlepiej pozornie funkcjonującej współpracy polsko-sowieckiej, nieufność co do wyników podjętego ratowania rodzin była ogromna.

Jeden z jeńców /którego rodzina szczęśliwie dziś już przebywa w Afryce Wschodniej/, pod datą 7.IV.42., pisał do mnie:

"*W jednym z ostatnich listów donosił Pan o otrzymaniu wielu listów od zesłanych, a jednak nikt w naszym obozie takiego listu nie otrzymał. Doszła nas natomiast wiadomość inna, mianowicie, że wiele naszych zesłanych rodzin nie żyje. Nie biorąc nawet tej pogłoski pod uwagę i przy uwzględnieniu wszelkich trudności — dziwny się wydaje fakt milczenia naszych rodzin w zestawieniu z rozpiętością czasu i staraniami naszymi, Pana i innych . . .*"

A oto refleksja jednego z ojców na moje pocieszające zapewnienia o "zorganizowanej opiece charytatywnej":

"*Zaznaczam, że żona moja bardzo ciężko pracowała przez letnie miesiące. Robiła cegłę w ciegielni ręcznej. Zarobek nie wystarczał absolutnie choćby na najprymitywniejsze życie to jest na chleb i ziemniaki dla czterech osób . . . Synowie z powodu złego odżywiania dostali szkorbutu. Znikąd ratunku żadnego nie mieli, aczkolwiek data listu mojego synka /2.IV.42/ wskazuje, że komitety już od jakichś sześciu miesięcy istniały . . .*"

Na tym fragmencie zamykam ten cykl "Niezłomnych serc." Wierzę, że w świecie lepszego jutra, o które walczymy, niezmierzone krzywdy ludzkie będą jedną z pozycyj bilansu. Że Bóg — mądrzejszy i sprawiedliwszy od ludzi — odważy każdą łzę niezawinioną i nie dopuści, by triumf końcowego zwycięstwa był tylko wykładnikiem materialnej siły. Wartości moralne dojdą do głosu — mimo wszystkich pozorów obojętności i zakłamania opinii światowej. Nie warto było by żyć, gdyby miało być inaczej.

Cieszę się bardzo, że mój optymizm w tym względzie został skutecznie podparty przez czcigodną autorkę "*My name is million,*" która łaskawie zechciała się zainteresować przypadkowo skompletowanymi przeze mnie dokumentami martyrologii polskiej.

Możemy zaiste być dumni z każdego słowa płynącego do nas z owych dalekich światów głodu, niewoli, cierpienia i przemocy. Są znaczone wielkością i niezłomnością. Polska cierpiąca zdaje swój egzamin chwalebnie i bez reszty.

Teraz kolej na nas — uprzywilejowanych i korzystających z dobrodziejstw wolności.

Wierzę, że mimo wszystkich waśni i przywar emigracyjnych, mimo hulającego oportunizmu i mimo, iż sam wielu rzeczy "nie rozumiem," w krytycznej godzinie próby i ten odłam Narodu Polskiego — nie zawiedzie.

ANDRZEJ LIEBICH

* Por. nr. 15 i 21 "Polski Walczącej" z b.r.

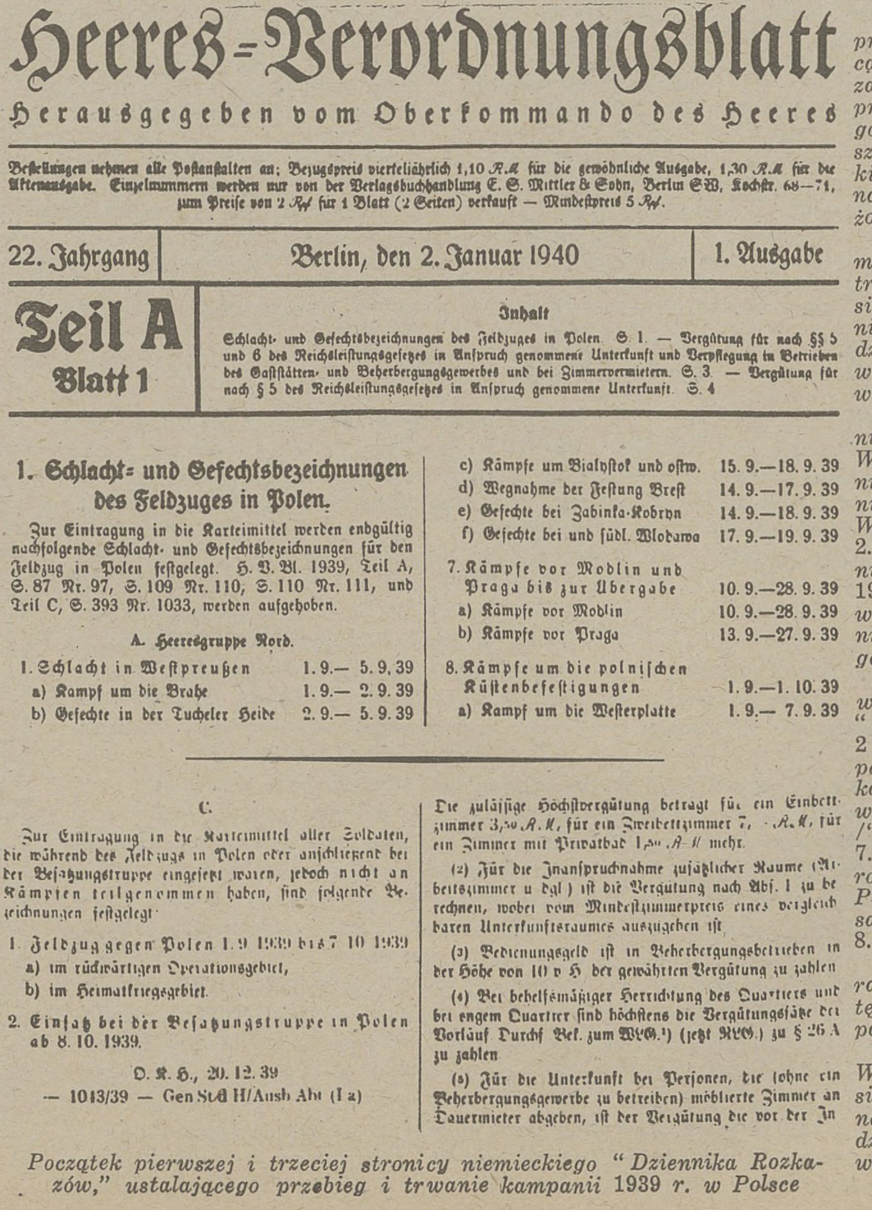
[1] "Wiadomości Polskie," nr. 11 /57/: "W niewoli niemieckiej — z opowiadań szeregowca L.M.

[2] "Polska Walcząca," nr. 19/43: "Nie rozumiem."

[3] "Wieści Polskie" — Budapeszt nr. 99. z dnia 19.VIII.42.

[4] W okresie od czerwca 1941 do listopada 1942 Ankara zdołała wysłać do obozów jenieckich 7706 paczek à 5 klg. /żywnościowe, owocowo-tytoniowe i tytoniowe/.

Kampania w Polsce trwała 37 dni!



Heeres-Verordnungsblatt

Herausgegeben vom Oberkommando des Heeres

Bestellungen nehmen alle Postanstalten an; Bezugspreis vierteljährlich 1,10 RM für die gewöhnliche Ausgabe, 1,30 RM für die Aktenausgabe. Einzelnummern werden nur von der Verlagsbuchhandlung E. S. Mittler & Sohn, Berlin SW, Kochstr. 68—71, zum Preise von 2 Rpf für 1 Blatt (2 Seiten) verkauft — Mindestpreis 5 Rpf.

22. Jahrgang	Berlin, den 2. Januar 1940	1. Ausgabe

Teil A Blatt 1

Inhalt

Schlacht- und Gefechtsbezeichnungen des Feldzuges in Polen. S. 1. — Vergütung für nach §§ 5 und 6 des Reichsleistungsgesetzes in Anspruch genommene Unterkunft und Verpflegung in Betrieben des Gaststätten- und Beherbergungsgewerbes und bei Zimmervermietern. S. 3. — Vergütung für nach § 5 des Reichsleistungsgesetzes in Anspruch genommene Unterkunft. S. 4

1. Schlacht- und Gefechtsbezeichnungen des Feldzuges in Polen.

Zur Eintragung in die Karteimittel werden endgültig nachfolgende Schlacht- und Gefechtsbezeichnungen für den Feldzug in Polen festgelegt. H. V. Bl. 1939, Teil A, S. 87 Nr. 97, S. 109 Nr. 110, S. 110 Nr. 111, und Teil C, S. 393 Nr. 1033, werden aufgehoben.

A. Heeresgruppe Nord.

1. Schlacht in Westpreußen	1. 9.— 5. 9. 39
a) Kampf um die Brahe	1. 9.— 2. 9. 39
b) Gefechte in der Tucheler Heide	2. 9.— 5. 9. 39
c) Kämpfe um Bialystok und ostw.	15. 9.—18. 9. 39
d) Wegnahme der Festung Brest	14. 9.—17. 9. 39
e) Gefechte bei Zabinka-Kobryn	14. 9.—18. 9. 39
f) Gefechte bei und südl. Wlodawa	17. 9.—19. 9. 39
7. Kämpfe vor Modlin und Praga bis zur Übergabe	10. 9.—28. 9. 39
a) Kämpfe vor Modlin	10. 9.—28. 9. 39
b) Kämpfe vor Praga	13. 9.—27. 9. 39
8. Kämpfe um die polnischen Küstenbefestigungen	1. 9.—1. 10. 39
a) Kampf um die Westerplatte	1. 9.— 7. 9. 39

C.

Zur Eintragung in die Karteimittel aller Soldaten, die während des Feldzugs in Polen oder anschließend bei der Besatzungstruppe eingesetzt waren, jedoch nicht an Kämpfen teilgenommen haben, sind folgende Bezeichnungen festgelegt:

1. Feldzug gegen Polen 1. 9. 1939 bis 7. 10. 1939
   a) im rückwärtigen Operationsgebiet,
   b) im Heimatkriegsgebiet.
2. Einsatz bei der Besatzungstruppe in Polen ab 8. 10. 1939.

O. K. H., 20. 12. 39
— 1043/39 — Gen St d H/Ausb Abt (I a)

Die zulässige Höchstvergütung beträgt für ein Einbettzimmer 3,50 RM, für ein Zweibettzimmer 7,— RM, für ein Zimmer mit Privatbad 1,50 RM mehr.

(2) Für die Inanspruchnahme zusätzlicher Räume (Arbeitszimmer u. dgl.) ist die Vergütung nach Abs. 1 zu berechnen, wobei vom Mindestzimmerpreis eines vergleichbaren Unterkunftsraumes auszugehen ist.

(3) Bedienungsgeld ist in Beherbergungsbetrieben in der Höhe von 10 v. H. der gewährten Vergütung zu zahlen.

(4) Bei behelfsmäßiger Herrichtung des Quartiers und bei engem Quartier sind höchstens die Vergütungssätze der Vorläuf. Durchf. Bek. zum WLG.[1]) (jetzt RLG.) zu § 26 A zu zahlen.

(5) Für die Unterkunft bei Personen, die (ohne ein Beherbergungsgewerbe zu betreiben) möblierte Zimmer an Dauermieter abgeben, ist der Vergütung die vor der In

Początek pierwszej i trzeciej stronicy niemieckiego "Dziennika Rozkazów," ustalającego przebieg i trwanie kampanii 1939 r. w Polsce

Po naszym tragicznym wrześniu propaganda niemiecka trąbiła na cały świat, że kampania w Polsce zakończyła się w 17 dni, czasem przydłużając ten okres do trzech tygodni, względnie do upadku Warszawy t.j. 28 września. Przechwałki te miały na celu pomniejszyć fakt naszego oporu a dodać chwały orężowi niemieckiemu.

Można było cały świat okłamać, mówiąc, że kampania w Polsce trwała tylko trzy tygodnie, nie dało się to jednak uczynić z żołnierzem niemieckim, który najlepiej wiedział, jak długo w Polsce trwały walki i do kiedy armia polska stawiała zorganizowany opór.

Reprodukujemy obok wyjątki niemieckiego Dziennika Rozkazów Wojskowych /Heeres — Verordnungsblatt/. To oficjalne wydawnictwo Naczelnego Dowództwa Wojska Niemieckiego z dnia 2.I.1940 reguluje sprawę wpisywania udziału w kampanii polskiej 1939 roku do książeczek wojskowych i podaje chronologicznie ważniejsze bitwy i działania poszczególnych armii.

W końcowym rozdziale Dziennik wymienia jako ostatnią, bitwę "Kock-Adamów," która trwała od 2 października do 7 października, poczem podane jest wyraźnie, że kampania w Polsce trwała od 1-go września do 7-go października 1939 /"Feldzug gegen Polen 1.9.1939 bis 7.10.1939"/. Od 8 października rozpoczęła się akcja okupowania Polski /"Einsatz bei der Besatzungstruppe in Polen ab 8.10.1939"/.

Dokument ten publikujemy, aby raz na zawsze ustalić "oficjalną datę niemiecką" zakończenia kampanii w Polsce.

Dla nas, Polaków Kampania Wrześniowa trwa ciągle, rozgrywa się w podziemiach Polski okupowanej, w powietrzu, na morzu, na lądzie i trwać będzie aż do chwili wyzwolenia.

MIECZ

Wspomnienia z oblężonego Tobruku

V.*

W nocy jeden z nas pojechał /a raczej poszedł za wózkiem/ do punktu rozdzielczego zaopatrzenia. Około pierwszej po północy rozpoczęła się ożywiona wymiana ognia artyleryjskiego i trwała aż do rana. Próbowałem usnąć mimo huku, lecz wszelkie moje wysiłki w tym kierunku spełzły na niczym. Chociaż mój towarzysz był człowiekiem bardzo sympatycznym, nie miałem ochoty do rozmowy.

Na drugi dzień po południu, gdy niemieccy artylerzyści poszli na podwieczorek, zabrałem się do czytania Pisma Świętego i przeczytawszy parę wierszy, usnąłem twardym snem. Obudziły mnie pod wieczór silne wybuchy, które jednakże nie były tak bliskie, jak zwykle. Niemcy milczeli. Nasza artyleria tymczasem obrzydzała im życie bardziej, niż zwykle.

Przed świtem Szwabi dali nam odpowiedź. Po raz pierwszy zdarzyło mi się wtedy widzieć tak silny ogień. W sąsiednim schronie pewien kapral został zabity. Pocisk z działka szybkostrzelnego trafił prosto w strzelnicę. Część mózgu owego kaprala musieli jego koledzy zmywać z przeciwległej ściany schronu.

Dwa tygodnie minęły prawie bez zmian. Chodziłem kilka razy na patrol z kolegami z sąsiedztwa. Pierwszy mój patrol nie obył się bez przygód, chociaż zakończył się szczęśliwie. Wyszliśmy w siedmiu na przedpole, mając za zadanie dotrzeć do zasieków niemieckich i zbadać, czy Niemcy nie robią jakichś podkopów, lub czy nie przesuwają umocnień. Dowódcą naszym był pewien sierżant podchorąży, który znał te okolice jak własną kieszeń, bo prowadził tu już wiele patroli.

Posuwaliśmy się gęsiego. Pierwszy szedł dowódca i szukał czy czasem nie ma na drodze min lub pułapek. Powiedziano nam, że na wypadek spotkania się z patrolem nieprzyjacielskim należy wziąć patrol do niewoli albo go zlikwidować. Po godzinnej wędrówce i kluczeniu wśród pól minowych znaleźliśmy się pod samymi drutami nieprzyjacielskimi. Dowódca kazał całemu patrolowi zostać i czekać, a sam przeprawił się przez zasieki i podczołgał się w stronę okopów. Oczywiście poprzednio wyznaczył swego zastępcę i dał mu instrukcje co ma robić w razie zaskoczenia.

Czekaliśmy z niecierpliwością. Ciągle wydawało się, że słychać jakieś głosy, że się ktoś zbliża, że ktoś wydaje w obcym języku komendę ogniową. Nie sposób w takiej sytuacji rozróżnić, co jest prawdą a co złudzeniem. W każdym razie coś w tym wszystkim musiało być, bo czerwona rakieta oświetliła przedpole i nas. W tej samej chwili otworzono piekielny ogień z pobliskich okopów. Przywarliśmy do ziemi. Na szczęście Niemcy źle obliczyli odległość i pociski padały za nami. Później jednakże moździerze biły blisko nas. Jeden tylko z całego patrolu został ranny w twarz. Rana była nie groźna i ranny mógł iść o własnych siłach.

Pociski z moździerzy padały tak gęsto, że wyznaczony przez dowódcę zastępca rozkazał szybki odwrót najkrótszą drogą. Ucieczka biegiem była niemożliwa, łatwo było by bowiem się zgubić, a poza tym wokół ciągnęły się pola minowe. Dowódca patrolu został. Błądziliśmy około dwóch godzin po przedpolu i w końcu znaleźliśmy się w domu. Trochę później od nas zjawił się dowódca patrolu nie sam. Przyprowadził ze sobą jeńca.

—„ Kazałem M . . . owi /swemu zastępcy/ — tłumaczył się — żeby was odprowadził do domu, jeśli by zaczęli strzelać i żeby z którymś z was wrócił po mnie, jeślibym zbyt długo nie wracał . . . Trafiłem na czujkę. Było ich dwóch. Jednego ubiłem a drugi przyszedł ze mną . . ."

Rannego odesłaliśmy do punktu opatrunkowego, a w sprawie jeńca dowódca patrolu telefonował do swego dowódcy. Jeniec siedział w schronie cichutko, jak mysz pod miotłą. Był mokry od potu i trząsł się jeszcze z wrażenia. Myślał może, iż będziemy się mścili za kraj. Daliśmy mu się napić wody. Nikt go o nic nie pytał, bo wyraz jego twarzy wskazywał, że jeszcze nie ocknął się z przerażenia i że nie był jeszcze w stanie udzielić nam pożytecznych informacji.

Chodziłem potem dość często na patrole. Zadania były jak zwykle w walce pozycyjnej: kontrola przedpola, obserwacja słuchowa i wzrokowa, chwytanie jeńców /to nie zdarzało się znów tak często . . ./. Na jednym z patroli przywitał nas "ślepy ogień" cekaemów. Ogień taki polega na ostrzeliwaniu przedpola. Na naszym odcinku ten rodzaj ognia stosowały obie strony. Z tego patrolu przynieśliśmy trupa.

W pierwszych dniach listopada Niemcy przypuścili atak na nasz odcinek sąsiedni, gdzie znajdował się batalion czeski. Nastąpiło to zupełnie niespodziewanie. Niemcy skoncentrowali kilka baterii artylerii na tym odcinku i rozpoczęli przygotowywać grunt pod natarcie. Pociski padając gęsto, podnosiły tumany kurzu. Wokół nic nie było widać. Nie można nawet było dojrzeć czy nieprzyjaciel posuwa się czy nie. Na huraganowy ogień Niemców nasza artyleria odpowiedziała ogniem zaporowym. W pewnej chwili tumany piasku przerzedziły się i na przedpolu zarysowały się zupełnie wyraźnie sylwetki zbliżającej się piechoty. Niemcy przeszli linię ogni, którą ostrzeliwaliśmy podczas kurzawy.

Nasze karabiny maszynowe strzelały teraz wprost do żywych celów. Skuteczność ognia ze względu na skierowany na nas ogień artyleryjski, była mała. Dowodziło tego zbliżanie się tyraliery. Ogień zaporowy naszej artylerii wzmagał się. Prawdopodobnie dowództwo nasze ściągało artylerię, by wesprzeć zagrożony odcinek frontu. Ogień artylerii okazał się o wiele skuteczniejszy, niż karabiny maszynowe. Wkrótce niemieckie natarcie załamało się a tyraliera piechoty cofała się, osłaniając swój odwrót świecami dymnymi. Po godzinie pokój panował na całym odcinku frontu.

Wieczorem Niemcy próbowali szczęścia jeszcze raz w tym samym miejscu, lecz z tym samym skutkiem. Zastanawiało mnie bardzo, dlaczego Niemcy nie użyli tym razem czołgów. Ogólne przypuszczenie było takie, że po doświadczeniu, jakie mieli przy poprzednim ataku na Tobruk, odechciało im się używać czołgów do tego celu. Australijczycy bowiem przepuścili czołgi a wymordowali piechotę posuwającą się za czołgami, czołgi zaś zostały unieszkodliwione przez artylerię wewnątrz fortecy. Poza tym ludzie są dużo tańszym materiałem wojennym, niż czołgi.

W połowie listopada zapanowało ożywienie na wszystkich odcinkach obrony. Przebąkiwano o zbliżającej się ofensywie. W powietrzu także zaczął się ruch. Z początku, gdy przyjechaliśmy do Tobruku, lotnictwa brytyjskiego prawie wcale nie było widać. Czasem jedynie przelatywały bombowce nad morzem. W czasie częstych i ciężkich nalotów na twierdzę, nie było żadnej obrony z wyjątkiem artylerii przeciwlotniczej. W połowie listopada bombowce brytyjskie pojawiały się coraz częściej i to w dużych formacjach z eskortą myśliwców. Po nocach świeciły dalekie łuny — ślad widomy przelotnego pobytu Anglików nad terytorium nieprzyjacielskim.

W tym mniej więcej czasie zmieniono obsadę schronu. Powróciłem na poprzednie miejsce. Tutaj przygotowywano już sprzęt i graty do drogi ponieważ był rozkaz, by nasz oddział był każdej chwili gotowy do wyruszenia na inne miejsce. Spodziewaliśmy się, że będzie ofensywa albo jakiś większy wypad. Zmieniliśmy szybko miejsce postoju, ale także chwilowo.

Moja drużyna otrzymała skalną grotę na mieszkanie. Stanowiska kaemów znajdowały się kilkaset metrów od schronu, koło wieży obserwacyjnej. Na stanowisku musiało być stale trzech ludzi. Zmienialiśmy się co dwadzieścia cztery godziny. Ogień artyleryjski w tym miejscu nie był tak groźny i tak intensywny. Nie robiło się tutaj nic z wyjątkiem czyszczenia kaemów i czuwania w nocy. Czasami tylko się trochę postrzelało. Było za to dużo czasu na czytanie.

Jesień była już w pełni i nawet we dnie było zimno. Nocami dokuczał w czasie czuwania dotkliwy chłód. Pamiętam, wtedy po raz pierwszy od dłuższego czasu zabrałem się do czytania wierszy. W podręczniku logiki nic mnie nie ciekawiło, bo wszystkie zadania w nim zawarte porozwiązywałem i już tylko podczas czuwania zastanawiałem się nad najrozmaitszymi problemami logicznymi z życia praktycznego.

Siedziałem raz w schronie, pochylony nad wierszami Lechonia i nie wiem już po raz który czytałem wiersz o miłości i o śmierci. Z "rajskiej dziedziny ułudy" wyrwał mnie mój sąsiad, który z zapałem czyścił "lufkę" do papierosów:

—" Po co ty ciągle siedzisz nad tymi książkami? Co ci z tego przyjdzie?"

Próbowałem zbyć to pytanie żołnierskim powiedzonkiem:

—" Co kto woli — rzekł pies . . ."

—" No nie, ale ja mówię na serio. Po co ci to?"

—" Wiesz to jest teraz właściwie moja jedyna przyjemność. Bez tego życie byłoby szare i nudne . . ."

—" Aha, rozumiem. Inaczej mówiąc ucieczka przed rzeczywistością . . ."

—" Nie, to nie ucieczka. To jest obrona . . ."

—" Przed czym?"

—" Przed wyjałowieniem duszy. To jest zacięta obrona przed zmechanizowaniem nieśmiertelnej duszy."

Towarzysz mój uśmiechnął się z politowaniem i czyścił dalej "lufkę."

Parę dni później przenieśliśmy się znów na inne miejsce. Warunki się pogorszyły z powodu ożywionej działalności artyleryjskiej. Dawny zwyczaj żeby nie strzelać między siódmą a jedenastą zaniknął zupełnie. Strzelanina trwała prawie bez przerwy. Około 20 listopada rozeszła się pogłoska, że Anglicy rozpoczęli ofensywę od strony Solum. W powietrzu widywało się walki pomiędzy myśliwcami brytyjskimi, które eskortowały klucze bombowców a Niemcami i Włochami. Doszliśmy wreszcie do wniosku, że Anglicy mają silne lotnictwo. Optymiści twierdzili nawet, że Anglicy mają przewagę. Równocześnie z angielskimi nalotami na pozycję nieprzyjaciela wzmogły się ataki powietrzne na oblężoną twierdzę. Wyczuwało się, że w miarę jak Anglicy posuwali się od wschodu, ucisk pierścienia otaczającego Tobruk wzrasta. Duch w wojsku bardzo się podniósł na wieść o zbliżającej się ku nam odsieczy. Pierwsze dni grudnia upłynęły na powstrzymywaniu coraz więcej uciskającego nas pierścienia.

W połowie grudnia kiedy pchaliśmy jak zwykle ręczny wózek z amunicją i żywnością, wjechaliśmy na minę. Mina ta znajdowała się na środku ścieżki. Przypuszczano, że jakiś patrol niemiecki przekradł się przez linie korzystając z burzy piaskowej, założył minę na samej drodze. Przypuszczenie to popierał fakt, że w pobliżu wydarzył się podobny wypadek. Na widok wybuchającej w ciemnościach miny nasi sąsiedzi z "tamtej strony" domyślając się lub znając przyczynę wybuchu, zaczęli strzelać z karabinów maszynowych. Ranili sanitariusza, który śpieszył z pomocą z sąsiedniego okopu.

Tej samej nocy znaleźliśmy się w szpitalu w Tobruku z wyjątkiem dwóch uczestników wypadku, których odwieziono na pobliski cmentarz. Opatrywanie ran odbywało się w szpitalu szybko i sprawnie.

Nad ranem z wielką przykrością stwierdziłem, że artyleria nieprzyjacielska nie oszczędza zabudowań szpitalnych. Pocisk ciężkiej artylerii wpadł na salę w drugim skrzydle budynku. Nie obeszło się oczywiście bez strat w ludziach.

Na dużej sali leżało mnóstwo rannych, a wielu z nich było w stanie bardzo ciężkim. Kilku skonało w nocy. W szpitalu znajdowali się alianci najrozmaitszych narodowości. Polak leżał obok Australijczyka, Hindus jęczał obok Nowozelandczyka, Południowy Afrykańczyk umierał obok angielskiego sąsiada. Lekarze i sanitariusze uwijali się wśród łóżek. Czasem słychać było jęki lub nawet i krzyki z sali opatrunkowej. Obok mnie leżał młody chłopiec. Jak się dowiedziałem od sanitariusza miał siedemnaście lat i płuca przestrzelone w dwóch miejscach.

Za wybitym oknem rysowała się łagodna linia morza i biały port. Szosa prowadząca przez wzgórza lśniła się w radosnych promieniach słonecznych. Ciepłe powiewy przedostawały się do dusznej sali. Mój sąsiad nie odzyskał jeszcze przytomności. Wołał kogoś chrapliwym głosem. Mówił bezładne słowa. Jęczał i czerwona piana wychodziła mu na usta.

Ksiądz zatrzymał się przy nim chwileczkę. Spełnił swój kapłański obowiązek i poszedł do innych. Miał bowiem tutaj bardzo wiele pracy. Około południa mój sąsiad umarł. Pogrzebano go w południe, jasne jesienne południe. Wieczorem na jego łóżko przyszedł nowy pacjent z ranami brzucha. Stale wymiotował. Umarł za przykładem poprzednika. Jeden dzień łóżko było puste.

* * *

Statek szpitalny odpływał z portu w nocy. Kiedy opuszczaliśmy port, nad miastem jakby na pożegnanie zabłysły wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej i reflektory wymachiwały długimi rękami po niebie. Kolorowe pociski broni maszynowej układały się w powietrzu w migotliwe półkola i faliste linie. Statek powoli oddalał się od tych świateł i od ciemnej linii lądu.

BOGUSŁAW ANDRZEJEWSKI

* Por. nr. 16-17, 18, 19 i 23 "Polski Walczącej" z b.r.

WIERSZE

★ ★ ★

Jakby cię przyjąć i w sobie rozkruszyć
Poezjo, piękna rodzicielko duszy.
Przedzwonić tobą każdą myśl i słowo,
wchłonąć i wciąż cię zdobywać na nowo . . .

Jakżeby twymi barwnymi łuskami
przykryć tak oczy i tak je oślepić,
by nic prócz ciebie nie przyjąć i nie pić,
tylko twe piękno — czuciem i ustami.

Żyje mi w nerwach twój rytm półtonowy,
jak trzepotliwy cień skrzydeł motylich,
które przepłasza krok biegnącej chwili
po bruku zdarzeń i po ludzkich słowach.

Ale mi w palcach topniejesz i nikniesz,
więdniesz pod świata oddechem surowym,
giniesz, jak rozkosz, co w sobie się chowa
i niedościgła — śpiewasz mi błękitnie . . .

Nie ujmę ciebie, nie sięgnę marzeniem:
zbyt mnie twe piękno pokornie pochyla.
Łaską mi jesteś, gdy schodzisz na chwilę
ćwierć osiągnięcia i pół dopełnienia . . .

Falkirk, 12.I.43.

HALINA TERLECKA

EPITAFIUM

Daleki świat,
słoneczny świat,
zaczarowanych, złotych lat,
gdy matka kołysała.

Jej rzewna nić,
anielska nić,
bieliła się by noce kryć
i usta całowała.

O kiedy to,
o kiedy to,
do rąk przypadnę, które mrą
jak syn ten marnotrawny?

I kiedy znów
i kiedy znów,
pobiegnę w jasne ciepło snów,
w ramiona twoje dawne?

JERZY FACZYŃSKI

KLUCZ ŻURAWI

I.

Na złotą strzechę wylazł bociek,
dojrzałe jabłka, strojne kiecki
barwią jarmarki mazowieckie,
w połowie drogi do Otwocka
Cudowna Matka Częstochowska
Ludziom i sprawom błogosławi . . .
. . . Po niebie płynie klucz żurawi.

II.

Więdną czerwone chryzantemy
modląc się za tych, co polegli
w tragicznych szarżach kawalerii.
W ulicznych grobach Polska śni się.
Łzy drzew jesiennych — zwiędłe liście
szepcą legendy o Warszawie . . .
. . . Po niebie płynie klucz żurawi.

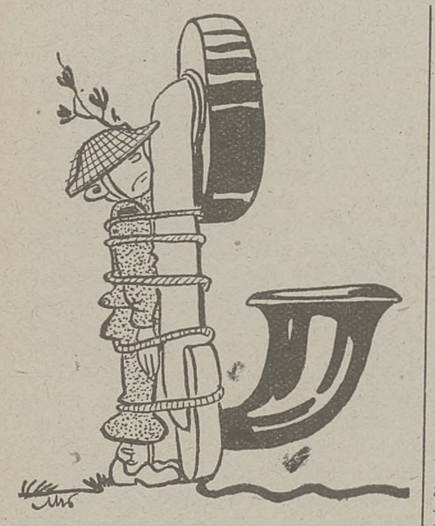
III.

Jesień odpłaci się jesienią.
Płacząc i śmiejąc się na przemian
uklękniesz szepcąc: polska ziemia.
A gdy ostatnia ścichnie bitwa
stęskniona matka cię powita
najczulszym słowem. Ponad wami
niebem, popłynie klucz żurawi.

ZDZISŁAW STOKLASA

Z powodu "Dnia Łączności"

Felieton bez drutu



"Żołnierz łączności jest przywiązany do swego sprzętu..."

—"Hallo! . . . hallo! . . . centrala! . . . proszę redakcję . . . co? tak, chcę przetelefonować . . . co? czekaać? . . ."

Bardzo przepraszam za ten dodatek, ale sprawa przekazania felietonu wydawała mi się pilna i usiłowałem, choć bezskutecznie, "wypowiedzieć" go telefonicznie redakcji natychmiast, aby dotrzymać terminu, o którym właśnie sobie przypomniałem.

W oczekiwaniu na połączenie, spróbuję go pisać. Więc do rzeczy . . .

Z okazji chociażby tylko tego jednego Dnia w roku — 29 czerwca — żołnierz łączności mógłby mieć prawo do tego, aby się nim zainteresowano i usiłowano zrozumieć istotę jego pracy i . . . uznano znaczenie tej pracy. Ten Dzień bowiem, Dzień Żołnierza Łączności, jest dla nas wszystkich, synów Marsa, jak gdyby dniem urodzin, czy imienin kogoś bliskiego z tej samej zbrojnej rodziny choć z innej matki /boć rodziła go Antena/.



"... nakładając słuchawki, wkładą na siebie brzemię ..."

W takim dniu w każdej większej, liczniejszej rodzinie z tak zwanymi staropolskimi tradycjami, sadzało się "solenizanta" na poczesnym miejscu przy stole nawet jeśli jego zwykłe miejsce bywało gdzieś przy końcu lub zgoła w "czeladnej," i usługiwało mu się, mimo że zwykle sam wszystkim służył, i co więcej, nikt nie mógł obejść się bez jego niezbędnej i stałej a dyskretnej usługi.

Dziś w naszej żołnierskiej rodzinie tym "solenizantem" jest właśnie Żołnierz Łączności.

Jako jeden z domowników tej rodziny, z racji plotkarskich upodobań stale korzystający z ciężkiej pracy żołnierzy łączności /a propos, co z tym połączeniem?/ chciałbym w ich Dniu odwzajemnić się czymkolwiek. Piszę więc o nich tych parę ciepłych słów.

O treść nie ma obawy, jest rzetelna, bo jak zobaczymy zaczerpnąłem ją z "kół najlepiej poinformowanych," a mianowicie od pewnego "łącznościowca." Nie chciałbym jednak, aby nieudolność formy niniejszego felietonu poczytano za chęć zemsty za te długie wyczekiwania na połączenia telefoniczne, gdyż po prostu jej nie szukałem. Zwyczajnie odtwarzam z pamięci niedawno prowadzoną rozmowę, na pewien określony temat. Właśnie na temat żołnierza łączności.

Jednym z moich pytań, które padło podczas naszej interesującej rozmowy, było:

—"Co to jest ta łączność i dlaczego o niej tak mało słychać?"

—"Bo widzisz, drogi druhu, łączność jest, jak żołądek" — usłyszałem ze zdumieniem. Znam wprawdzie również porównanie działania łączności w wojsku z funkcją, jaką spełniają nerwy w organiźmie człowieka, ale to porównanie wydało mi się co najmniej oryginalne, dlatego też z tym większym zaciekawieniem słuchałem dalszego wyjaśnienia.

—"Ładujesz, wlewasz do niego co okazja zdarzy a zasoby pozwolą, po prostu obżerasz się i . . . zapominasz, albo nawet i nie wiesz, że masz żołądek, póki to wszystko cierpliwie i wytrwale trawi. Aż tu, jak mu dołożysz i tego i tamtego jeszcze, przeciążysz go i zaboli, dopiero wtedy gwałt i . . . dietka. Podobnie jest z łącznością. Wie się o niej tylko wtedy, gdy trzeba przesłać tę i tamtą wiadomość, rozkaz, meldunek i to natychmiast, albo jeszcze prędzej, a tu ci powiadają o przerwanych po bombardowaniu drutach i rozbitych radiostacjach lub wyczerpanych akumulatorach. Czasem przerwy te nie trwają długo, bo zawsze znajdzie się jakiś inny tak zwany "środek łączności," który dostarczy dokąd trzeba meldunek, ale i ta krótka, najkrótsza nawet, przerwa, wyprowadza cię z równowagi i narzekasz na łączność. W tym momencie zdajesz sobie sprawę, że jej nie miałeś, bo cię "zabolała," choć nie myślisz o niej, gdy działa normalnie. Taka to już niewdzięczna służba. Rzadko się też na ogół zdarza, aby tak ktoś, kiedyś łączność pochwalił. Gdy taki "ktoś" przez nieświadomość w sprawach wojskowych wyrazi czasem zachwyt nad wysoką sprawnością działania łączności w najcięższych nieraz warunkach, zaraz usłyszy od bardziej uświadomionego, że właściwie to nic nadzwyczajnego, bo to taki jej psi obowiązek — musi działać i tyle."

Zanotowałem to krótkie wprowadzenie sprawy łączności, aby tym bardziej uwypuklić dalszymi wypowiedziami, że nie tylko nie mam żadnych złych myśli, ale że z okazji święta mam szczerą intencję zaznajomić "najszerszą opinię" z tą lepszą stroną żołnierza łączności, co tym łatwiej mi przyjdzie, że tylko raz zamierzam dzisiaj korzystać z telefonu /a jakoś nie dzwonią . . ./.

Po omówieniu z moim rozmówcą pewnych niesłusznych odchyleń od stwierdzenia, że łączność jednak jest bronią, a nie służbą, że w zasadzie nigdy nie pracuje na siebie tylko zawsze dla kogoś /właściwie dla wszystkich/, czyli jak się to mówi "na korzyść" dowódcy; że organizacja i zadania jej ściśle zależą od organizacji dowodzenia i t.d., przeszliśmy na temat bliskich, być może, działań i w związku z tym padło inne z moich rozlicznych pytań:

—"Na czym polega właściwie służba żołnierza łączności w walce?"

—"Na pracy technicznej, chociaż . . ."

—"Jakto, czy i wtedy, gdy go bombardują i ostrzeliwują?"

—"Tak. Czy żołnierz łączności, a więc n.p. radiotelegrafista dlatego, że bombardują lub strzelają do niego miałby może przerywać korespondencję lub nasłuch? Nie, obowiązek żołnierza łączności polega właśnie na sumiennym wykonywaniu pracy technicznej w obliczu działań nieprzyjaciela, choćby mu przy tej pracy paść przyszło. Jak z tego widać nie bierze udziału w walce z bronią w ręku, póki inni żołnierze walczą i bronią jego dowództwa, a twardość jego obowiązku polega na wykonywaniu w tych warunkach pracy tak długo, póki sprzęt jest użyteczny. Jednak w przypadku bezpośredniego zagrożenia dowódcy, czy dowództwa, żołnierz łączności, który jest jego ostatnim odwodem — walczy. Walczy wówczas do ostatka. Walczy również jak piechur, gdy wskutek działań wroga zostanie zniszczony zupełnie lub stanie się bezużyteczny sprzęt, który obsługiwał, a którego już ani naprawić, ani zastąpić nie można."

—"Praca takiego n.p. radiotelegrafisty musi być jednak przyjemna i ciekawa w porównaniu z pracą wojenną żołnierzy innych broni, chociażby przez kontakt z całym światem. Ciekaw jestem jak to jest w rzeczywistości, w polu?"

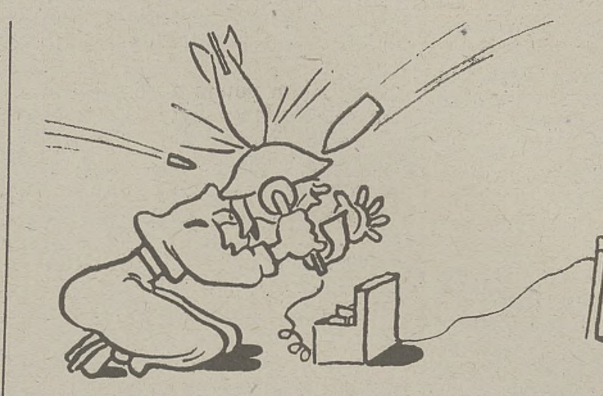
—"Panuje powszechne mniemanie, że radiotelegrafiści nie przeciążają się pracą: słuchają komunikatów, muzyki tanecznej i t.p. audycji z rozgłośni całego świata. W rzeczywistości radiotelegrafista służbowy przy radiostacji nie ma na to czasu, jak nie ma również czasu na słynne przed wojną z klubów krótkofalowych, "podróże po świecie bez paszportów i wiz." Praca radiotelegrafisty jest trudna, żmudna i dla postronnych pozbawiona efektów. Jest ona ujęta w ściśle ramy "regulaminu ruchu" i "organizacji sieci." Warunki walki, zmuszające do prowadzenia korespondencji na granicy zasięgu radiostacyj często w najniekorzystniejszych warunkach elektrycznych powodują, że służba jest wyczerpująca i radiotelegrafista musi prowadzić najcięższą walkę, walkę z samym sobą."

—" . . .?"

—"Radiotelegrafista walczy ze swym znużeniem i zmęczeniem, z sennością i rozdrażnieniem, a właściwie ze swymi nerwami, których opanowanie jest warunkiem dobrej pracy. Najsilniejsze nerwy słabną, jeśli często trzymane są podczas pracy "pod wysokim napięciem," wynikającym z kilkugodzinnego najwyższego natężenia uwagi. A uwaga musi być równocześnie podzielona i skupiona tak na wskaźnikach aparatury, jak i szczególnie na odbiorze ledwie dosłyszalnych czasem znaków, z których przecież składa się treść "wiadomości," przesądzającej nieraz o życiu i śmierci ludzi, lub o losie bitwy, czy może nawet wojny. Radiotelegrafista nakładając na głowę słuchawki w chwili obejmowania służby wie, że z tą chwilą nakłada na siebie równocześnie brzemię wielkiej odpowiedzialności, której poczucie stale w sobie nosi. Walczy więc z nerwami i . . . wychodzi zwycięsko."

Na dalsze moje pytania otrzymałem wyczerpujące i ciekawe odpowiedzi. Notuję jednak to, co dotyczy możliwie bezpośrednio żołnierza łączności: a więc, że w wojsku zajmuje jak gdyby stanowisko dość uprzywilejowane, gdyż jako pośrednik w przekazywaniu myśli i rozkazów dowódcy jest poniekąd jego zaufanym powiernikiem, że jest żołnierzem sztabu, żołnierzem dowodzenia.

Posłuchajmy jednak co mówi dalej nasz informator o cechach przeciętnego żołnierza łączności.



"...pracuje pod kulami..."

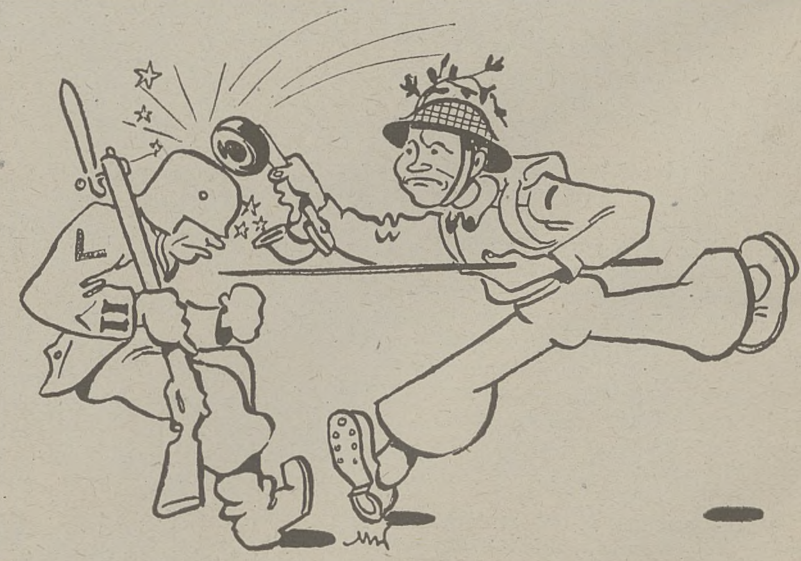
—"Każdy żołnierz łączności to specjalista, czy będziemy go nazywali takim czy innym mianem: radiotelegrafistą, czy telemechanikiem, podsłuchowcem, namiarowcem. Każda z tych specjalności jest kapitałem wielomiesięcznej pracy wyszkoleniowej, wysoko wykwalifikowanej kadry i długiego doświadczenia technicznego. Jako pierwszą więc cechę żołnierza łączności możemy przyjąć jego nieprzeciętny poziom osobistego wyszkolenia technicznego, stale doskonalonego. Inną cechą jest wysokie poczucie obowiązku, co zapewnia mu pełne zaufanie przełożonych. Ugruntowało się nawet przekonanie, że żołnierz łączności, pozostawiony bez kontroli, wykona powierzone sobie zadanie według swych najlepszych chęci, sił i możliwości, najdokładniej i po myśli intencji przełożonego.

Dość może powszechną w naszym wojsku cechą, jednak godną zanotowania, jeśli chodzi o żołnierza łączności, jest jego przywiązanie do swego sprzętu, przywiązanie wyrażające się nie tylko w pieczołowitym jego utrzymaniu i znajomości, lecz przede wszystkim w chęci ratowania go w trudnych okolicznościach nawet wtedy, gdy wydano rozkaz zniszczenia. Żołnierz łączności jest gotów wszystkiego się wyzbyć, byle sprzęt lub bodaj część jego uratować. Co w tych przypadkach gra większą rolę: czy ukochanie sprzętu, z którym związana jest większość jego przeżyć wojennych, czy podświadome wyczucie, że bez sprzętu przestaje być czynnym łącznościowcem, trudno powiedzieć. W każdym razie obecna wojna nieraz potwierdziła tę piękną, prawie romantyczną w zachodnio-europejskich warunkach, cechę.

Koleje losu żołnierza łączności "turysty" wykazały szereg innych cech jak n.p. dużą zaradność i pomysłowość techniczną /które są jego chlebem powszednim/ i to nie tylko w ramach specjalności łącznościowych, że wspomnę tylko o popularnym już "odkurzaczu min," lecz również dużą zaradność i pomysłowość "życiową." Żołnierz łączności, wdrożony w służbie i skłonny do pracy zespołowej, do pracy na korzyść większego zespołu, zdobył duże wyrobienie społeczne, które, poparte "życiową" zaradnością i pomysłowością, sprawiało, że w różnych "obozach" bywał niezastąpiony. A że ogólnie wiadomo, że żołnierz łączności ma nie jedną specjalność, lecz co najmniej dwie lub więcej, tak na własny jak i kolegów użytek, dlatego też w obozach Rumunii, Węgier czy innych a nawet początkowo w W. Brytanii zwykle obsadzał tak zwane "kluczowe pozycje." Nie przesadzę jeśli powiem, że "departmenty wyżywienia i rozrywek kulturalno-oświatowych wraz z miejscową prasą i informacją," obsadzone były zwykle przez łącznościowców. Nadmienić należy, że nikt na tym źle nie wychodził. Czasami, gdy trzeba było, łącznościowcy obsadzali również "department budownictwa." Mogą o tym zaświadczyć liczne miasteczka baraków w Targu-Jiu, w Matha i gdzieindziej. Ale do tych specjalności mniej się przyznają.

Dodatkowo trzeba by podkreślić jeszcze kilka szczególnych cech. A więc dyskrecja, która pozostaje w harmonijnym stosunku do ilości posiadanych ścisłych wiadomości, a sprawiających, że żołnierz łączności w polu jest dla tych, ale tylko tych, dla których trzeba, niezastąpionym źródłem potrzebnych informacji. Szczególnie ważne jest to tuż za walczącymi jednostkami, a jeszcze bardziej na tyłach wśród często zdezorientowanych służb, gdzie ponadto wnosi, często podkreślany i konieczny, czynnik spokoju i opanowania, poparty inną ciekawą cechą, jaką jest zdolność orientowania się w działaniach na poziomie kilku szczebli dowodzenia wyżej od przeciętnego żołnierza innego rodzaju broni."

Na tym muszę zakończyć felieton, chcąc go zaraz przetelefonować, a można by było jeszcze kilka słów wspomnieć o nowym dzielnym pomocniku żołnierza łączności, również łącznościowcu, choć w spódnicy, o tak zwanej "radiopestce." Niestety musiałbym znaleźć kogoś bardziej kompetentnego od mego rozmówcy /na co nie mam czasu/, który poza ogólnikami w rodzaju zapewnień, że "radiopestki" wkrótce już dorównają w pracy swym współtowarzyszom, wymówił się poza tym nieznajomością tematu.



"... walczy do ostatka ..."

—"Hallo! . . . centrala? . . . Tak, to ja . . . co? Telefony są do ważniejszych rzeczy, niż felietony?" . . .

Ach, z tą waszą łącznością!

ARIUSZ BURAKOWSKI

rysunki MARIANA WALENTYNOWICZA

Dnia 29 czerwca Żołnierze Łączności będą obchodzili swoje święto. Tradycyjnie łączy się ono z obchodzonym co roku w Polsce świętem Pułku Radiotelegraficznego. Uroczystość tegoroczna przypada w okolicznościach szczególnych — w czasie wojny, która sprawy łączności wysunęła na tak ważne miejsce; może w przeddzień działań, w których polskie oddziały łączności mogą odegrać rolę doniosłą. Zdały one już egzamin w Kampanii Wrześniowej, zapisały się dobrze wszędzie, gdziekolwiek od tego czasu żołnierz polski stanął do walki: w Norwegii, we Francji, w Tobruku i pod Gazalą. W polskich wojskach łączności dokonano wynalazku słynnego wykrywacza min, który przyczynił się do wspaniałych zwycięstw VIII-ej Armii w Afryce. Na terenie Wielkiej Brytanii mają one za sobą rzetelny wysiłek organizacyjny i szkoleniowy.

Żołnierz Łączności dobrze sobie zasłużył na sympatię i szacunek Polskich Sił Zbrojnych.

Bez black-outu

Przykrym przywilejem tego felietonu stało się traktowanie o rzeczach czułych. A właściwie wszystko na emigracji jest — "czułe." Może najmniej czuli są ludzie dla siebie. Brak zrozumienia wzajemnego jest niewątpliwie naszą chroniczną schorzałością, którą znachorzy, czy fachowi lekarze powinni dla dobra duszy narodu poddać dokładnemu prześwietleniu promieniami szczerości, by po tym leczyć intensywnie i pilnie obserwować poprawę w okresie rekonwalescencji.

Biorę dzisiaj tę schorzałość narodową pod mój skromny, własny aparat Roentgenowski i nie stosując żadnych zaleceń, nie wydając żadnych recept — patrzę.

Oto pobieżny obraz. Brak zrozumienia wzajemnego jest zadawniony, co gorzej potworzyły się pewne "zwapnienia egoistyczne," które usunąć można jedynie tylko przy pomocy bolesnego zabiegu chirurgicznego bez znieczulania. Klimat emigracyjny przyczynił się do powstania licznych guzów i węzłów nie do rozplątania. Zaobserwowane objawy powodują przede wszystkim: zachwianie równowagi, a co za tym idzie zatracenie poczucia p r o p o r c j i. O tę proporcję idzie najbardziej.

W chwili, gdy słusznie ze wszystkich stron nawołuje się do jedności, gdy w prasie brytyjskiej nawet podziwiają naszą solidarność i zgodność poglądów w trudnym dla narodu polskiego momencie, gdy wszyscy w tym względzie "nadużywamy gościnności" Wielkiej Brytanii, mówiąc uparcie o "nadużywaniu gościnności" przez Rosjan w stosunku do naszych rodaków na tamtejszym terenie — w takiej chwili musimy zdobyć się największym wysiłkiem na wyjątkową trzeźwość i na ostateczne ustalenie proporcji dla oceny osób, rzeczy i spraw. Warunkiem tego zbliżenia, niewątpliwie odświeżającego duszę zespołu emigracyjnego, może być jedynie dobrowolne wyzbycie się egoizmów wielkich i małych. Potrzebne nam jest "odwarunkowanie" wszystkiego od słowa: j a. Warto pamiętać, że Australia /kochana i poczciwa, żeby jej Bóg błogosławił!/ może nas zastąpić tylko na drodze dyplomatycznej; na drogach zdobywania wartości ludzkich, wartości trwałych, w pracach urabiania charakteru narodowego n i e z a s t ą p i n a s n i k t.

Na terenie Wielkiej Brytanii znaleźli się w ostatnich miesiącach i tygodniach Polacy, których los ściągnął tu niemal z całego świata. Spotkać możesz rodaków z różnych kontynentów i z różnych mórz — czasem dosłownie z mórz wyłowionych, ocalonych cudem. Dzieje tych ludzi to tragiczny materiał dla nieprawdopodobnego filmu, bledną przy nich najfantastyczniejsze opisy wypraw, gasną egzotyczne losy poszukiwaczy przygód. Trzeba wiedzieć i warto pamiętać, że w tej chwili są tutaj między nami Polacy ze śladami szkorbutu Północy, Polacy ze straszliwymi skutkami okrutnych więzień Południa Europy, Polacy z ranami niezagojonymi, zadanymi przez rekiny na Oceanie Spokojnym, Polacy przedwcześnie posiwiali . . .

Dlatego tę paniusię, /Polkę?/, która w audycji "Refugee" dnia 29 maja przed mikrofonem B.B.C. mówiła o swoich wielkich zmartwieniach "wygnańczych," do których przede wszystkim zaliczyła: kiepską pogodę w Wielkiej Brytanii i niemożność uruchomienia własnego auta, "jeszcze z Polski," które jest dla niej "całą Polską" — należało by wyrokiem sądu obywatelskiego wyprosić z Wielkiej Brytanii i zaproponować jej przejażdżkę po Oceanie Spokojnym, osadzając "somewhere na Północy," gdzie klimat brytyjski wyda jej się . . . rajem. Nie wiem, kto to był, nie wiem kto w chaosie radiowych kompetencji polskich ma odpowiadać za tę audycję, ale przecież takie rzeczy nie mogą się dziać nieodpowiedzialnie. W pierwszej chwili wydawało się, że to wroga Polsce i sprawie polskiej propaganda, podsunęła tę panią przed mikrofon. Trudno uwierzyć, że to była Polka, działająca w pełni świadomości i bez zamroczenia umysłowego.

Na drugi dzień sondowałem opinię znajomych Brytyjczyków. Byli zdziwieni — wszystkim: samochodem i garażem i narzekaniami na brak benzyny dla celów osobistych i tym, że w audycji podkreślono bojaźń, z jaką "polskie kmiotki" ustępowały z drogi przed autem. Dodatkowo zabolała ich sprawa "klimatyczna," którą rozstrzygnęli na swój sposób: — "Sorry, nie możemy dla niej zmienić klimatu, ale sądzimy, że ona może zmienić miejsce pobytu."

Jeżeli ktoś chciał oddać nam niedźwiedzią przysługę, to oddał ją ze stuprocentowym sukcesem. Jeżeli "gaffa" ta jest naszym własnym niedopatrzeniem, świadczy ona tylko raz jeszcze o zupełnym niedocenianiu radia jako środka propagandy i walki — jako środka rozpowszechniania opinii — przez ludzi mających w tej sprawie głos rozstrzygający.

Incydent ten jest bardzo charakterystyczny dla naszego środowiska, w którym zatracono proporcję, skalowanie rzeczy i spraw: Polacy z całego świata, rozbitkowie, ludzie wyrwani z objęć choroby i śmierci są na tej wyspie między nami, a przed mikrofonem B.B.C. w niedzielę, w porze największego nasilenia w odbiorze — nieznana paniusia mówi o kłopotach samochodowych i "szkodliwym" klimacie brytyjskim.

Byłem świadkiem wielu rozmów, toczonych pomiędzy Polakami, przybyłymi z Rosji i Polakami z terenu Wielkiej Brytanii, słyszałem rozmowy kobiet i mężczyzn; ze wszystkich przebijało zatracenie proporcji w ludzkim ujęciu sprawy; odbywała się jakaś niesamowita licytacja przygód . . . Makabryczna była dla mnie dyskusja na temat kulinarny: ktoś z Rosji mówił o głodzie i o jedzeniu kotów; w odpowiedzi na to ktoś stąd ośmielił się narzekać, że od trzech lat . . . jada "porridge."

W tym miejscu warto by zacząć mówić o ludzkim sercu i . . . rozumie. Nikt z nas nie odbiera Polakom w Wielkiej Brytanii wartości przejść i doświadczeń losu w tej wojnie: wiemy, że jedni przeszli trudną i niebezpieczną ewakuację z Francji, inni pracowali w Londynie w długim okresie najgorszych bombardowań, wielu przeżyło ciężkie tragedie życiowe — ale gdzie proporcja? Trzeba wołać o trzeźwość. Czy naprawdę ośmieliłby się ktoś przeciwstawić ranom — brak auta? Głodowaniu — "porridge"? Nerwowym przeżyciom po storpedowaniu — klimat brytyjski?

Obserwacja z prześwietleń promieniami szczerości prowadzi do zatrważających, ale narzucających się siłą pytań: Czego należy się spodziewać w dalszym ciągu stałej zatraty zmysłu proporcji? Czy Tam w Kraju naszym tak ciężko doświadczonym staną także niektórzy z nas do licytacji przeżyć? Czego się spodziewać po tych smutnych doświadczeniach kilku dyskusji, po tych pierwszych zetknięciach się Polaków z Wielkiej Brytanii z Polakami, przybywającymi z innych stron świata tu na tę wyspę? Czego się spodziewać? Czy dalszej licytacji pomiędzy "Polakami z Rosji" a Polakami "z Polski," między "Polakami z Mirandy" a "Polakami ze Stalagów," między "Polakami spod okupacji niemieckiej" i "Polakami spod okupacji . . . brytyjskiej." Nie wystawiajmy straszliwych przeżyć narodu w hali aukcyjnej! Dusza narodu wzbogaciła w straszne, ale na pewno uszlachetniające doświadczenia. Rzeczą rozumu i taktu jest zachowanie pełnej godności ludzkiej w tych bardzo czułych sprawach.

Jeżeli poruszam ten temat w chwili obecnej, czynię to świadomie, nie dla poniżenia jednych czy dla wywyższenia drugich, ale po prostu dla odkrycia prawdy, która stanowi niezawodny element pod budowę szczerej solidarności Polaków w chwili, gdy ten "drugi front" polski podziwiają Brytyjczycy. Byłby w błędzie ktoś, ktoby urobił sobie opinię na podstawie dzisiejszego felietonu, że jest jakiś konkretny konflikt pomiędzy Polakami przybyłymi tutaj w ostatnich czasach, a nami, "stale" zamieszkałymi od trzech lat na terenie Wielkiej Brytanii. Nie. Jest tylko brak zrozumienia wzajemnego. W prosty i łatwy sposób możemy je zdobyć: przez utopienie egoizmów, przez odrzucenie niegodnych licytacji, przez konsekwentne zastosowanie proporcji.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

PIERWSZY TYSIĄC

Z prawdziwą radością przeczytałem w nrze 24-tym "Polski Walczącej," że zbiórka książek dla żołnierzy naszej armii na Bliskim Wschodzie wynosi 1.670 tomów. A więc szczęśliwie *pierwszy tysiąc* książek został już przekroczony. Pragnę skorzystać z tej okazji, by primo podziękować Redaktorowi "Polski Walczącej" za podchwycenie myśli tej zbiórki i tak gorliwe jej poparcie, a secundo, by zwrócić się do wszystkich Czytelników z gorącą prośbą o nadsyłanie dalszych książek. Naszym celem powinna być cyfra *dziesięciu tysięcy* tomów polskich książek wysłanych z Wielkiej Brytanii na Bliski Wschód! Pamiętajmy ilu tam jest tych polskich żołnierzy. I jak bardzo są oni zgłodniali polskiego słowa drukowanego. Przez tak długi okres w Rosji byli oni całkowicie odcięci od tej strawy duchowej.

Przed kilku tygodniami znalazłem w "Polsce Walczącej" czyjś list do Redaktora, w którym wzywając do nieustawania w zbiórce pieniędzy na pomoc Polakom w Rosji, autor nieco krytycznie odniósł się do zbiórki książek i niejako przeciwstawia jedną zbiórkę, drugiej. Otóż wydaje mi się, że istnieje tutaj zasadnicze nieporozumienie. Obie zbiórki *w niczym* nie konkurują pomiędzy sobą, przeciwnie znakomicie się uzupełniają. Stanowią człony tej samej całości—pomocy nas, którzy zrządzeniem losu znaleźliśmy się w lepszych warunkach życia, tym naszym rodakom, z którymi los obszedł się mniej łaskawie. I zadokumentowania w ten sposób jedności, jaka w latach tej straszliwej zawieruchy obecnej wojny istnieje pomiędzy wszystkimi Polakami. O to przecież chodzi. To jest *istotny sens* tych wszystkich zbiórek!

Gdy piszę do Pana, pragnę skorzystać ze sposobności, by podkreślić jak zmienną jest często treść pewnych rzeczy. I tak np. bomby, które lotnicy RAF'u zrzucają obecnie na Rzeszę mają—w moim pojęciu—olbrzymie znaczenie . . . wychowawcze. Spełniają niejako rolę książek, wychowują ludność cywilną Niemiec, uczą ją zrozumienia tego, czym jest nowoczesna wojna. Natomiast książki, które my posyłamy naszym żołnierzom na Bliski Wschód, stanowią potężny oręż. Są one niejako "amunicją duchową," rozpraszają wątpliwości, utwierdzają w przekonaniach, ugruntowują znajomość spraw, niezmiernie ważnych dla naszej przyszłości. Tej amunicji nasz żołnierz na Bliskim Wschodzie, polski wychodźca w osiedliskach rozsianych po całej Afryce, potrzebuje. Za tą amunicją tęskni. Kogokolwiek spotkać kto przyjeżdża tutaj stamtąd, każdy—na pytanie czego potrzebują—odpowiada: "książek, książek i jeszcze raz książek!".

Nie wątpię, że Czytelnicy "Polski Walczącej" zrobią wszystko, by dać jak najwięcej tej "amunicji duchowej" naszym rodakom wyzwolonym z dalekiej, obcej niewoli. Tylko rozejrzyjmy się starannie wokoło nas, a niewątpliwie każdy "wygrzebie" jakąś przeczytaną, zapomnianą, niepotrzebną książkę, która się może stać prezentem dla kogoś na Bliskim Wschodzie, stęsknionego za polskim słowem drukowanym, żądnego polskiej myśli, polskiej powieści. I książka ta spełniwszy już raz swoją rolę w Wielkiej Brytanii, ponownie odegra ją gdzieś w innym kątku świata, dokąd losy tej wojny zagnały Polaków.

Oby drugi tysiąc tomów mógł zostać zebrany w ciągu kilku najbliższych tygodni i by dalsze, następne posypały się jak najprędzej! Pamiętajmy też, że obecnie czas trwania transportu na Bliski Wschód znakomicie zmalał. Jest to skutek zwycięstwa w Północnej Afryce i "odkorkowania" Morza Śródziemnego dla żeglugi Sprzymierzonych. Że zamiast kilku miesięcy, obecnie nasze książki zebrane dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie, mogą dojść do ich rąk w ciągu kilku tygodni. Warto o tym pamiętać.

Kończąc załączam do tego listu trzy książki, a mianowicie: "Walka o morza," "Papiestwo i Polska," "Zagrody i Wspólnoty."

Stefan Żurowski

RATUJMY SIEROTY I BIEDNE DZIECI W POLSCE

Zapewne z chwilą zakończenia działań wojennych, narody sprzymierzone, zgodnie z planami przygotowywanymi obecnie — przyjdą czynnie z pomocą narodom zniszczonym, obrabowanym przez złodziei pruskich, przywiozą im niezbędną ilość żywności i odzieży. Samym jednak gospodarzom potrzeba będzie szczególnie włożyć wiele wysiłku i dobrej woli, by sytuację, jaką zastaną w zdezorganizowanych krajach tuż po wojnie, po tak strasznych nieszczęściach, jakie przeszły wszystkie warstwy społeczeństwa — naprawić, ulepszyć. Nie tylko podnieść życie na stopień przedwojenny, ale po doświadczeniach i nauce praktycznej zaczerpniętej w obcych krajach, zastosować co się tylko da u siebie, polepszyć zwłaszcza byt milionów, które nie tylko w czasie obecnej niewoli cierpią, ale znosiły pewne niedostatki w dawnej Rzeczpospolitej i nawet w ciągu dwudziestu ubiegłych lat wolności.

Dobrze się zapowiada na przyszłość nasza siła zbrojna, lotnictwo, marynarka i wojsko lądowe. Wiele się mówi i pisze o robotniku polskim, mało zaś o mniejszych miastach, a dopiero ostatnio zaczęto poruszać również, choć nieśmiało sprawy wsi i jej przebudowy. A właśnie te warstwy społeczeństwa stanowiły największą bolączkę, gryzącą Polskę, bo nędza panosząca się wśród zaułków miejskich i w nędznych chatach wiejskich niszczyła wiele najzdolniejszej młodzieży polskiej. Wieś była często przez czynniki rządzące zaniedbana, wieś głodowała, a przytem musiała dźwigać wielkie ciężary na rzecz państwa, płacąc niejednokrotnie zbyt ciężkie podatki. Poza Wielkopolską, Wołyniem i Lubelskim, gdzie ziemia była urodzajna, inne części kraju biedowały. W ciasnym, jednoizbowym domku, mieszkała rodzina z ośmiorgiem dzieci, które trzeba było ubrać i wyżywić z trzy- lub dwu- morgowego piasczystego kawałka ziemi, płacąc do tego przeróżne podatki i asekurację. Czyż było możliwe, by te dzieci otrzymały przynajmniej należyte wykształcenie w szkole powszechnej? Wszak nie mogły, nie mając ani bucików, ani ubrania, iść do tej szkoły! Czy mogły one otrzymać przynajmniej przyzwoite wychowanie w domu? Matka i ojciec szli do pracy, pozostawiając dzieci na boskiej Opatrzności cały dzień, bez ludzkiej opieki i żadnej o nie troski. Same szukały chleba, biegając od okna do okna pociągów na stacjach kolejowych z koszykiem poziomek, czereśni i innych owoców.

Należało by już teraz myśleć i starać się, by warunki biednej młodzieży polepszyć, umożliwić jej życie, studia, a następnie pracę. Na pewno po wojnie zastaniemy w kraju ogromną ilość sierot, bo tylu ojców poginęło w kampanii Wrześniowej, w Rosji, w Niemczech i na innych frontach. Zostaną one bez opieki, bez domu, w biedzie i w nędzy. Trzeba będzie je ratować. Ale czy będzie można natychmiast urządzić schroniska bez pomocy państw Sprzymierzonych? Przede wszystkim potrzebna będzie nie tylko przez pierwsze lata powojenne, ale na dłuższy czas organizacja Czerwonego Krzyża. W niej jako pielęgniarki znalazłoby zajęcie wiele kobiet, które straciwszy mężów na wojnie, nie będą wiedziały gdzie się obrócić. Należy również dla ogromnej ilości sierot znaleźć pomieszczenie, utworzyć w każdym mieście i wsi sierocińce, w których znalazłyby się dzieci małe, do siedmiu lat i którymi opiekowałyby się siostry Czerwonego Krzyża.

Dla sierot lat od siedmiu do trzynastu znalazłyby się pomieszczenia w tak licznych w Polsce klasztorach. Uważam, że zakony tak męskie jak i żeńskie, posiadające większe dobra i posiadłości ziemskie powinny utrzymywać, wychowywać i uczyć w zakresie szkół powszechnych najbiedniejsze dzieci robotników, tych z zaułków miejskich i kurnych chat wiejskich.

W ten sposób setki sierot znalazłyby opiekę i dach nad głową. Biedna zaś ludność nie będzie na pewno narzekać na dobra klasztorne, gdy będzie widzieć tak piękne i zbożne dzieło, jakim byłoby żywienie, dobre wychowywanie i kształcenie najbiedniejszych.

Dzieciom sierotom wychodzącym z klasztorów po skończonej powszechnej szkole powinno państwo udostępnić szkoły średnie a następnie wyższe we wszelkiego rodzaju, według zdolności i zamiłowania szkołach średnich i wyższych.

Wyszukiwanie "Janków Muzykantów," musi poprzeć państwo, by w tej niedoli i nieszczęściu nie zginęły tysiące sierot. Niechże więc Urząd Oświaty w Wielkiej Brytanii już teraz uplanuje tę wielką wyprawę ratowniczą, niech przygotowuje ludzi i fundusze na sierocińce i szkoły dla tysięcy sierot polskich. Datki tak od nas żołnierzy polskich, jak też od Polaków w Ameryce i obywateli państw Sprzymierzonych hojnie popłyną, tylko potrzeba odpowiedniego apelu.

Biedna młodzież robotników z miast i wsi musi znaleźć miejsce w szkołach, sieroty po zaginionych żołnierzach muszą znaleźć opiekę. Ratujmy sieroty i biedne dzieci, w Polsce natychmiast po skończonej wojnie, bo młodzież to przyszłość i wielkość Ojczyzny.

Michał Królewicz

JESZCZE O FILMIE "EAGLE SQUADRON"

Szanowny Panie Redaktorze,

Numery 1 i 4 "Polski Walczącej" z b.r. doszły mnie późno a otrzymałem je dzięki uprzejmości gen. konsula w San Francisco, Dra W. Sokołowskiego. Znalazłem w nich, w "Skrzynce pocztowej" list p. Franciszka Kryszczuka i uzupełnienie jego treści listem p. Bolesława Pomiana.

Zależało mi szczerze na tym, aby sprawę wyświetlić i dlatego postarałem się o osobiste zetknięcie się z p. Walterem Wangerem, producentem filmu "*Eagle Squadron.*"

P. Wanger był zdziwiony faktem, że film jego był przez polskich lotników przyjęty jako niekorzystna propaganda polskiego lotnictwa. Słyszał i czytał wiele o tym lotnictwie i jest pełen podziwu dla jego bohaterskich wyczynów i nieustraszonej odwagi naszych lotników. Dlatego też jako producent filmu rozumie on zgoła inaczej cały ten epizod, w którym Borowski ginie, w jego pojęciu i w pojęciu scenarzystów filmu wyrażenie "*Borowski spoilt the show*" nie jest bynajmniej oskarżeniem polskiego lotnika. Zarówno Wanger, jak i prasa tutejsza i chyba olbrzymia część publiczności amerykańskiej widziała w tym niefortunnym zakończeniu życia młodego lotnika tylko jego może zbyt gorący zapał i usprawiedliwioną nienawiść do Niemców, ale zarazem wspaniałe lekceważenie niebezpieczeństwa śmierci i odwagę, której nikt nie dorówna.

Dla wyjaśnienia spraw poruszonych przez p. Pomiana mogę poświadczyć, że p. Wanger od kilku lat nie był w Londynie. Jego pełnomocnikiem w sprawach zdjęć w Anglii był znany nam i zasłużony pułk. armii amerykańskiej a słynny zastępca dowódcy Eskadry Kościuszkowskiej w wojnie bolszewickiej, Merian C. Cooper. P. Wanger nigdy nie miał własnego biura a przypuszcza, że adres podany przez p. Pomiana w przypisku jego listu był adresem tego zastępcy, którego pułk. Cooper wyznaczył zmuszony przed zdjęciami wyjechać z Anglii. Prawdopodobnie Cooper wskazał na polskich lotników, jako najlepszych i najbardziej sprawnych do wykonania trudnych zdjęć, gdyż Wanger o używaniu ich dla lotów w filmie nic nie wiedział.

Wreszcie niech mi wolno będzie od siebie dodać jeszcze pewne wyjaśnienie faktów. P. F. Kryszczuk mówi o polskim filmie i o polskich producentach. Polskich producentów w Hollywood nie ma, proponowane przeze mnie scenariusze niestety nie trafiły do przekonania producentów, którzy nie mają na razie ochoty, jak twierdzą, produkować filmów, będących naszą propagandą. Szukają tematów sensacyjnych, powieściowych a takich literatura w języku angielskim nie posiada. Zresztą możemy być pewni, że zawsze będą się kierowali tylko własnym spojrzeniem na film i jego opłacalność.

Ryszard Ordyński

8611/2 Burton Way, Los Angeles, Cal.

POSZUKIWANI

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszczą adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

1. **Basiński** Stefan, Kom. pol. p. 1.45, syn Władysława, z Warszawy, wyjechał z Gen Zamorskim prawdopodobnie do Anglii — poszukiwany przez Basińską Marię /6 Iran Paiforce P.F./ /4031/.

2. **Chudarski** Tadeusz, kpt. lotn., lub Chudarzewski — poszukiwany przez Chudarzewską Marię /3728/.

3. **Dąbrowski** Mieczysław, kan. — poszukiwany przez Ref. R.W. Iran Paiforce P.F. /3729/.

4. **Grodziński** Czesław, ur. 1920 ze Lwowa — poszukiwany przez ojca Henryka Paiforce 550. Polish Forces /3728/ /4031/.

5. **Grudziński** Jerzy, ppor. inż., ur. 1903 z 6. Baonu Panc., był w Anglii — poszukiwany przez Grudzińską Reginę, Teheran Ob. Nr. 2.

6. **Jagielski** Ryszard, pułk., w roku 1939 służył w Gł. Kom. Z. R. z ostatnio w Anglii — poszukiwany przez Zmigrod Samsona /3728/.

7. **Jagaciak** Wojciech, ur. 8/4 1900 r. w Grodzisku /Poznań/, syn Michała i Marii — poszukuje rodzina w Teheranie /4270/.

8. **Janicki** Eugeniusz, ur. 1915 r. w Płonnikach, syn Wiktora /4265/.

9. **Janczyszyn** Jan, kapr., ur. 1899 r. — poszukiwany przez Janczyszyn Marię /4 Iran Paiforce P.F./ /4031/.

10. **Krakowski** Bronisław, kpt. z K.O.P. Borszczów — poszukiwany przez Krakowską Jadwigę /3728/.

11. **Kulikowski** Stanisław, kpr. podch., ur. 1916 r. był we Włoszech w roku 1940 — poszukiwany przez Sawicką Katarzynę /3728/.

12. **Kaliszek** Walerian, mur. art. — poszukiwany przez Kaliszek Irenę /3728/.

13. **Kolankowski** Jan, Aleksander st. wachm. — poszukiwany przez Kolankowską Stanisławę /3728/.

14. **Kubis** Walenty, lat 20, wyjechał transportem lotników w kwietniu 1942 z Średniego Wschodu do Anglii — poszukiwany przez Kubis Czesława /3729/.

15. **Kokczyński** Antoni, Chunking Polmission — wiadomość od Szuszkiewicz Bronisławy.

16. **Kuczyński** Kazimierz por. 12 pal., był w Anglii w 1940 r. 5/16 poszukiwany przez żonę Wandę /6 Polish Forces Paiforce/ /4031/.

17. **Łopianowski** Narcyz, rtm. z 1. pułku uł. Krech., był w 8 D.P., wyjechał do Anglii w 1042 r. — poszukiwany przez Perekładowską Stanisławę /2 Iran Paiforce P.F./ /4031/.

18. **Mróz** Edward, por. żand. — poszukiwany przez Jurczyńską Annę /3728/.

19. **Majewski** Włodzimierz, ppor. 5 p. lotn. z Lidy — poszukiwany przez matkę Jadwigę /3728/.

20. **Mulak** Michał, podof., był na Węgrzech — poszukiwany przez żonę Władysławę /4116/.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,976

Drogiej koleżance Władysławie Majewskiej składamy z okazji imienin szczere i gorące życzenia wszystkiego najlepszego przekazując równocześnie 30 szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.

dnia 26.VI.1943.

Koleżanka i koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Przesyłam kwotę £6 sh.11 d.4 złożone przez niektórych podoficerów i szeregowych Pułku Przeciwpancernego, oraz £2 ofiarowane z okazji imienin przez st. wachm. Antoniego O. z tegoż pułku — łącznie kwotę £8 sh.11 d.4 z przeznaczeniem na fundusz pomocy polskim dzieciom — sierotom wyewakuowanym z Rosji.

Z poważaniem

J.L. rtm.
II Z-ca D-cy pułku

* * *

Na ręce szan. Redakcji przesyłam 3 funty z prośbą o przekazanie: £1.0.0 na pomoc Polakom w Rosji /szczególnie na pomoc dzieciom-sierotom znajdującym się na terenie Rosji Sow./. £1.0.0 na pomoc jeńcom polskim znajdującym się w niewoli niemieckiej, oraz £1.0.0 na rzecz Funduszu Walki Czynnej z Najeźdźcą.

Łączę wyrazy szacunku i szczerej sympatii

J.G.

* * *

Z. Juszkiewicz R.E. 4th Field Company W.A.E. West African 10 shyl. na Polaków w Rosji.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £11.11.4 /słownie funtów jedenaście, szylingów jedenaście i cztery pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na tęn cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,976.13.7 /słownie: osiem tysięcy, dziewięćset siedemdziesiąt sześć funtów, trzynaście szylingów i siedem pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

MŁODA POLSKA W INDIACH

Redakcja "Polska Walcząca" Londyn,

W odpowiedzi na artykuł p. Arnolda Jaskowskiego p.t. "Na tułaczych szlakach; Polacy w Indiach," załączam P.O. na kwotę 10 szyl. celem utworzenia funduszu pomocy dzieciom polskim w Indiach, pod hasłem "Młoda Polska w Indiach."

Z poważaniem

N. M. Trzaskowski

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam money order na £5.0.0 zebraną kwotę przez pacjentów w S. Sanatorium. Suma ta jest przeznaczona na pomoc jeńcom wojennym w Niemczech.

Z poważaniem

Pacjenci w S.

* * *

Do redakcji "Polski Walczącej,"

Uzyskane honorarium z koncertu orkiestry Dyw. Grenadierów w D. w środę dnia 16 czerwca 1943 przeznaczamy na pomoc Polakom w niewoli niemieckiej.

Strzelec Władysław M. sh.12 — plut. Teodor C. sh.12.

Równocześnie załączamy postal order.

* * *

1.0.0 /jeden funt/ na jeńców polskich znajdujących się w niewoli niemieckiej.

J.G.

* * *

£3.10.4 na paczki dla jeńców zebrane przez kapitana J.M. z okazji koleżeńskiego zebrania.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £10.14.4 /słownie: funtów dziesięć, czternaście szylingów i cztery pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £425,4.9 /słownie: czterysta dwadzieścia i pięć funtów, cztery szylingi i dziewięć pensów/.

NA FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDŹCĄ

£1.0.0 /jeden funt/ na fundusz walki czynnej z najeźdźcą.

J.G.

Oficerowie i Podoficerowie na terenie RAF Maintenance Command—na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu kwietniu 1943 r. £15.3.0.

Kierownik Biura
/M. Ponikiewska/

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Pan redaktor "Polski Walczącej,"

Proszę uprzejmie by załączone książki były wysłane dla żołnierzy polskich na Wschodzie od Dywizjonu "*Lwowskich Puchaczy.*"

Wykaz książek:

Czesław Jeśman "Klejnot srebrzystych mórz." André Maurois "Dzieje Anglii." /2 egz./ H. Sienkiewicz "Ogniem i mieczem tom II /3 egz./ S. Żeromski "Wierna rzeka." M. Dynowska "Polska w zwyczaju i obyczaju." /2 egz./ J. Pietrkiewicz "Po chłopsku." tom I, II. Z. Grabowski "Anglia wyspa nieznana." /2 egz./ S. Żeromski "Wiatr od morza." S. Mackiewicz "Historia Polski." Ewa Curie "Maria Curie." A. Słonimski "Alarm." S. Mackiewicz "O jedenastej powiada autor sztuka jest skończona." W. Reymont "Chłopi" tom III. W. Strzałkowski "W obozie w Szkocji." W. Solski "Przy świetle księżyca."

Oficer oświatowy . . . P.A.C. przesłał 24 książek.

* * *

77. książek od p. A. Dąbrowskiego /Druga paczka otrzymana na powyższy cel/.

* * *

144 książek i plik nut

Zalutyński

* * *

Przesyłam dla bibliotek polskich na Bl. Wschodzie następujące książki:

Żeromski: Wierna rzeka. Z. Nowakowski: Przylądek Dobrej Nadzieji. C. Poznański: Federacja ale jaka. T. Sulimirski: Najstarsze dzieje narodu polskiego. Z. Grabowski: Anglia wyspa nieznana. Gen. Norwid-Neugebauer: Kampania wrześniowa. Adamski: Polski śpiewnik narodowy. Dłużewski: Droga do Polski. Pomniki literatury ojczystej. C. Jeśman: Północne podróże podhalańskie.

Janina Hamulińska

* * *

Bezimiennie:

A. Słonimski: Alarm. M. Hemar: Adolf Wielki. A. Fiedler: Ryby śpiemają w Ukajali. S. Wyspiański: Warszawianka. M. Norwid-Neugebauer: Kampania wrześniowa. A. Mickiewicz: Księgi narodu polskiego. Chrześcijański ustrój społeczny. Walki w obronie granic.

* * *

Bezimiennie: 10,000 słów po angielsku, Say it in English.

* * *

Przesyłam trzy książki dla rodaków na Wschodzie: Prus: Placówka. Sienkiewicz: Ogniem i mieczem /tom II, III/.

M. Zaborski

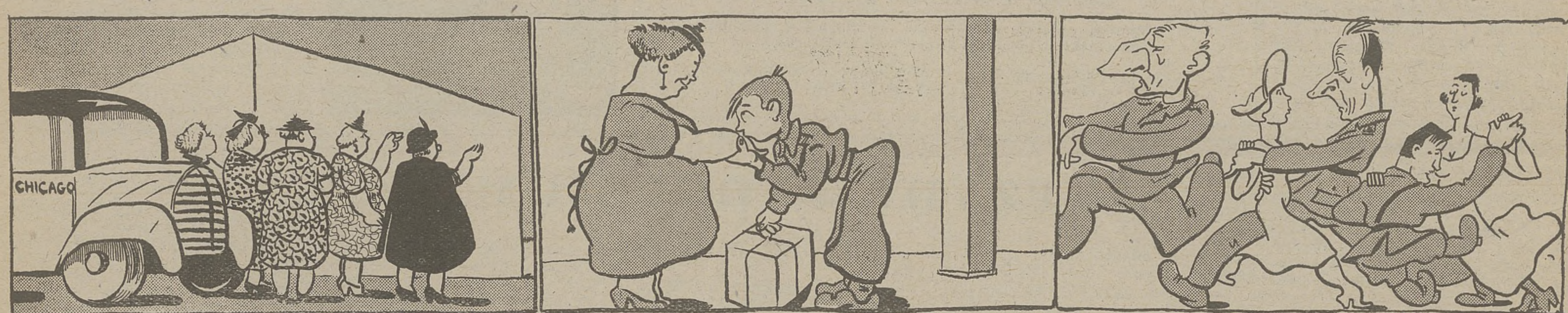
* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1959 książek.

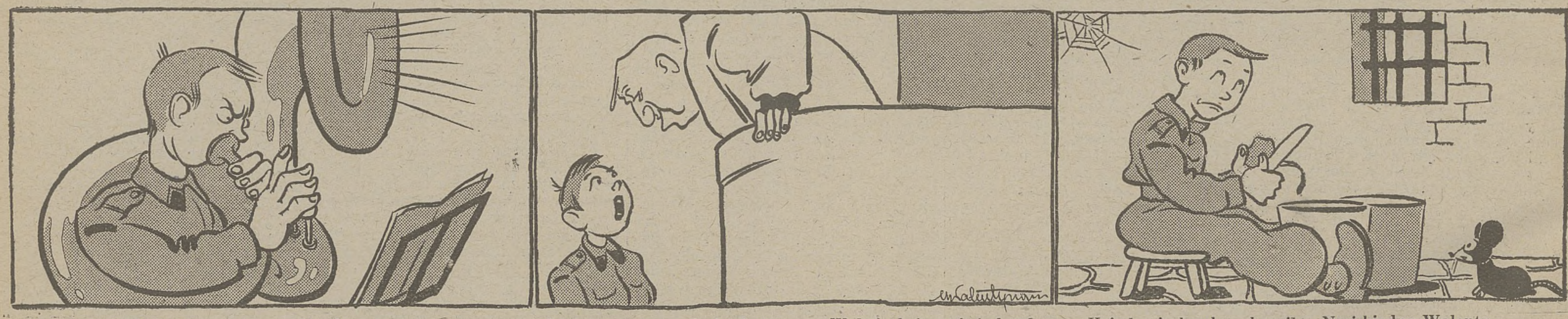
Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Dnia pewnego do koszar /Nie jest żadną to blagą/
Przyjechała wycieczka Związku Polek z Chicago.
Każdy żołnierz otrzymał Różnorodne prezenty —
Sto żyletek na przykład Dostał Pompa Walenty.
Wzamian za to orkiestra Potem grała wojskowa,
Każdy tańczył i każdy Rączki Związku całował.



Tylko biedny Walenty Miał zmartwienie w tym czasie,
Bo akurat zastępczo Grał w orkiestrze na basie.
Gdy nazajutrz w kościele Wszystkie grzechy ksiądz zliczył,
Waluś głośno oświadczył: To mnie dziś nie dotyczy!
Ksiądz się bardzo obraził Na gadanie Walusia —
No i biedny Walenty Do raportu iść musiał . . .

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIE

SZOŁTYSIAK FRANCISZEK i SILBIGER JÓZEF, którzy zwrócili się pisemnie do naszej Redakcji w ważnych sprawach osobistych, proszeni są o podanie obecnych adresów.

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie **NOWY TESTAMENT** lub **EWANGELIĘ ŚW. JANA** w języku **POLSKIM** proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

LEOPOLD KOSSER /Gujana Bryt./ poszukuje brata Jakuba Kossera, który według ostatnich wiadomości, znajdował się w Rosji. Wiadomości do Redakcji "P.W."

* * *

STANISŁAW ZWIĄZEK, Pol. Red Cr., 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, poszukuje Antoniego SŁAWIŃSKIEGO z b. 39. pp. Jarosław, ostatni znany adres: Parthenay, rue Bombarde 1.

* * *

MICHAŁ HALIŃSKI, Royal Victoria Hospital, Netley, Hants., n/Southampton W. 86, poszukuje Adama MALACHA i Władysława STRZELCZYNKA z Korzenicy pow. Jarosław.

* * *

PIOTR WINNICKI, Royal Victoria Hos., Netley, Hants, n/Southampton, W. 86 poszukuje KĘPA oraz:

WOJNIUZ z 77. pp. Lida oraz wszystkich znajomych którzy by mogli pomóc mu przy weryfikacji stopnia.

* * *

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKÓBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.